№ 44. Warszawa, dnia 22 Października (3 Listopada) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedplata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

Najcierpliwszemu swojemu czytelnikowi i najłagodniejszemu krytykowi, Ciotce swojej, poświęca tę pracę

Autor.

I.

Kentucky.

— Strzeż się ogniojadów!

Było to ostatnie słowo staruszka rodaka, zajmującego przyzwoite stanowisko w rządzie municypalnym miasta Cincinnati, w stanie Ohio, w Ameryce, gdy odprowadziwszy mnie na statek, odpływający do południowych Stanów Zjednoczonych, ostrzegał o siarczystych ludziach, nazywających się chętnie ogniojadami. Ostatni uścisk dłoni... staruszek wyskoczył na groblę... statek świsnął, zaszumiał i zatrząsł się jak opętaniec... i już bulgoczą koła w żółtej, szerokiej rzece.

Wybrałem umyślnie wodną drogę z Cincinnati do Louisville, głównego ogniska handlowego w stanie Kentucky. Chciałem poznać wspaniałą rzekę, najhandlowniejszą ze wszystkich w posiadaniu rasy kaukazkiej, nie wyjmując Dunaju, Wołgi i Missisipi. Towary spławiane na Ohio w przeciągu roku oceniają na 4 miliardy franków.

Mętna rzeka płynie tak gładko w głębokiem swojem łożu, że zdaje się leniwą. Lecz pozory mylą. Prąd jej rwie i zdwaja chyżość parowca. W godzinie ubiegamy 5 mil geograficznych. Statek nasz przedstawia płynący hotel, wedle wzoru wszystkich parowców na Missisipi, Hudsonie, ogólnie w Ameryce. Salony i kajuty znajdują się w dwóch wysokich piętrach nad pokładem. W tej wyniosłej kamienicy żyjemy jak w pierwszorzędnym hotelu. Murzyni usługują nam z gracyą garsonów u braci Provançaaux. Mamy bilardy, czytelnię, pokój dla palących, salon dla dam z fortepianem, umywalnię, łaźnię, golarnię, cukiernię w której sprzedają lody, wino i wódkę (ostatnia najlepiej idzie), słowem wszystkie urządzenia amerykańskiej cywilizacyi.

Śnieg okrywa wybrzeża rzeki. Jasna, grudniowa noc zapadła, a księżyc oblał łagodnem światłem padół nadwodny i góry równoległe z rzeką, oddalone od niej cokolwiek. Po stronie północnej rysują się na białym krajobrazie miasteczka fabryczne. Tam nawet o północy tętnią młoty, warsztaty, życie, bo stan Ohio posiadający, nieprzebrane kopalnie węgla i żelaza, oddaje się przemysłowi z zaciekłością amerykańską. Szeregi kominów oświetlają łunami swemi północny brzeg rzeki, nakształt farów. Pomiędzy miasteczkami fermy gospodarne zaległy dolinę. Las znikł dawno pod toporami kolonistów. Tylko wzdłuż wody widzimy rzadkie, oszczędzone drzewa, miotające rozpaczliwie konarami, od ciosów wichru. Możnaby sądzić, że załamują ręce, lamentując za wytępionemi towarzyszami. Dryady i Monady zawarte w nich smucą się za bożkiem swym, Panem, wygnanym wraz z idyllą z tych brzegów.

Na południowej stronie cicho i głucho. Należy ona do stanu Kentucky. Przyroda równie hojnie uposażyła obydwa wybrzeża, lecz w Kentucky człowiek nie nadużywa jej darów. Wprawdzie wyrąbał on i tam część lasów, lecz zostawił pieńki, sadząc pomiędzy niemi kukurydzę i nie ścinając łodyg połamanych, po zebraniu plonu. Poziome i nędzne domostwa szarzeją pośród pól źle uprawnych. Bór tworzy tło uprawionego wybrzeża, sięgając niekiedy do samej wody.

Wreszcie pokazuje mi jeden z majtków mieścinę na południowym brzegu *Big Bone* (Kość Wielką) gdyż za nią leży jezioro, nad którem istniała kopalnia mamutowych kości.

O parę mil dalej widzę *Warsaw*, Warszawę w Kentucky. Każdy stan amerykański ma swoją Warszawę, Rzym i t. p. Warszawy amerykańskie składają się zwykle z 2 lub 3 ulic. Frontowa od rzeki rumieni się domami z cegły, a reszta bieleje drewnianemi budynkami w formie liter I L i Z. Domy te chylą się często, jak gdyby się naradzały, dla kogo je tu zbudowano. Wszakżeż żeglarz płynący na rzecze nie zobaczyłby nawet w biały dzień więcej mieszkańców w tem mieście, nad robotnika na grobli, co przywiązuje parowiec, gromadki dzieci na środku ulicy i szynkarza Niemca u drzwi swego domu, dziwiącego się, ażali tym razem nie wysiądzie z okrętów gość, z którego możnaby co utargować. Uśmiecha się od ucha do ucha, gdyż rzeczywiście wysiadł na grobli jeden pasażer, ze sporą walizą. Może dojdzie do hotelu, jeżeli go nie pożre chmura psów wiejskich, co go opadła niegościnnie, wbrew „kreidonnerwetter“ gościnnego Niemca.

Przy ujściu rzeki Kentucky do Ohio mijamy Carrolville. Wymieniona rzeka Kentucky wypływa z okolicy szwajcarskiej malowniczości, płynąc przez 200 mil ang. pomiędzy pionowemi skałami wapiennemi, sięgającemi 500 stóp ponad poziom wody. Spławianie berlinek i drzewa dnem tej otchłani należy do mozolnych i niebezpiecznych zajęć. Wartki prąd wije się nakształt węża stalowej barwy, szumi i burzy; zmrok zalega dno parowu; opoki piętrzą się; oko zaledwie sięga do ich szczytów i wierzy, iż lada chwila skały runą w przepaść lub na żeglarzy; wysoko po nad głowami sunie błękitna szarfa firmamentu, w długiej perspektywie, nie wróżąc flisakowi prędkiego wypłynięcia na szeroką i łagodną Ohio.

Piękność ostatniej rzeki określili francuzcy odkrywcy, nazywając ją „la belle riviere.“ Pod tem mianem opisują ją wczesne geografie tej części świata. Angielscy Amerykanie wrócili jej właściwe, eufonijne, indyjskie imię *O-ha-jo* (tak powinniśmy wymawiać słowo Ohio), co także znaczy: piękna rzeka.

Jutrznia rumieni pagórki w Kentucky, statek potrącił o poduszkę kłaków, spuszczoną pomiędzy burt i groblę w Louisville, dla złagodzenia ciosu okrętu o słupy. Patrzymy na miasto o szerokich, schludnych ulicach. Rzeka tworzyła niegdyś przy nim niebezpieczne katarakty, które wysadzono prochem. Ujęta w tamy i spusty, obraca teraz koła fabryk, i rozszerza się w jezioro mające pół mili polskiej szerokości. Kry płynące z północy zbijają się tu w pływające mosty, a czarne ulicznik przebiegają nieraz po lodzie z Louisville do miasta na północnym brzegu. Widok ten przypomniał mi Elizę, unoszącą niemowlę na płynących lodach z kraju niewoli do wolnej ziemi.

Louisville nie zawiera dużo rzetelnych ogniojadów, czyli białych południowców. Możniejsze tutejsze mieszczaństwo składa się z Yankesów i Niemców, wyzyskujących wyborne handlowe położenie miasta, proletaryat zaś z murzynów. Żywioł południowy tworzy tylko cząstkę tubylców, w tak szczęśliwej mierze, że dodaje miastu elegancyi, żywości, tonu arystokratycznego, urządza zabawy i weneckie zapusty, ale nie czyni życie w nim niebezpiecznem dla osób należących do politycznego obozu wyklętego na południu. Ponieważ Kentucky i sąsiednie stany słyną z rzadkiej urody i strojności swoich niewiast, więc główną ulicę w Louisville możnaby nazwać wystawą nadobnych córek Kentucky, obiegających sklepy za sprawunkami.

Ludność tego miasta wynosi przeszło 150,000 dusz, Louisville stoi więc w rzędzie wielkich ognisk amerykańskiego życia. Na *levée*, czyli grobli nadrzecznej, panuje ruch nadmorskiego portu. Most na Ohio uchodził za najdłuższy i najwspanialszy w Ameryce, nim zbudowano słynny most w Saint-Louis, na Missisipi. Louisville zasłynęło najpierwej pomiędzy miastami amerykańskiemi z owych nowoświatowych karawanserajów, czyli hotelu, gdzie para podnosi gości do szóstego piętra, damy bawią w salonach książęcego przepychu, jadalnie zaćmiewają wystawę i sybarytyzm paryzkich restauracyi. Stanąłem w *Galt House*, najdawniejszym hotelu tego rodzaju w Ameryce, wzorze dla innych, znanym od New-Yorku do Pacyfiku. Stosunkowo jest on bardzo tani — 3 dolary na dzień za stancyę, stół, usługę, wszystkie wygody, grzeczność murzynów posługujących, kłaniających się gościowi z potulnością fagasów europejskich!... przecież to nie drogo. Tryngeldy, *pour boire*, wszelkie wyderkafy zabronione tu surowo, jak na Północy. Dalej na Południu znają jednak te utrapienia. Służby białej już tu nie ma. Syn kaukazki pości w południowych stanach, ale nie poniewiera się w służbie.

Towarzystwo w Galt składało się przeważnie z wiejskich panków południowych. z dodatkiem komiwojażerów, którzy nigdy nie siedzieli w hotelu, biegając za interesami. Był też tam znany nad Ohio pastor sekty metodystów, wciąż podróżujący celem organizowania parafii murzyńskich. Teraz objeżdżał je, ze zlecenia prowincyonalnego synodu. Południowce patrzyli z ukosa na tego agitatora i murzynofila, on nie dbał o nich. Przyznam, że i do mnie nie lgnęli, gdyż wyrwałem się w godzinę po wejściu do *lobby* (sali dla mężczyzn) z prośbą o bardzo radykalny. północny dziennik. Zapisałem się do księgi hotelowej, jako obywatel radykalnej Minnesoty, nieprzychylnej plantatorom. Nie dziw że stronili ode mnie. Skutkiem osamotnienia zbliżyłem się do pastora.

Mój nowy znajomy nazywał się Prentiss i był krewnym zmarłego poety tegoż imienia, jednego z niewielu oryginalnych i genialnych południowych pisarzy. Nieszczęśliwy ten, kapryśny talent wolno nazwać typem rycerskiego, lekkomyślnego i przewrotnego narodu, co go wydał. Prentiss zrujnował mienie i życie pośród koni, kart i mulatek; umarł młodo, na suchoty, zostawiwszy cenną spuściznę dzieł pisanych, a może jeszcze cenniejszą w postaci niezliczonych *bonts mots*, piosenek i anegdot, które krążą z ust do ust w jego ojczyźnie. Gdyby je zebrano, zjednałyby autorowi poczesne miejsce pomiędzy humorystami amerykańskimi.

Louisville podziela gust południowych miast do naśladowania wzorów francuzkich raczej, niż angielskich, do uchodzenia za mały Paryż, na wzór Nowego Orleanu, Memfisu i t. p. Ztąd tutejsze gmachy publiczne, jakoto ratusz, poczta, trybunał miejski i t. d. przypominają paryzką giełdę, kościoły, świątynię św. Magdaleny, a zwyczaje trącą już bulwarową swobodą.

Pastor zaprowadził mnie w niedzielę do murzyńskiego kościoła swojej sekty. Oprócz katolików, którzy wszędzie pozwalają ludziom wszelkiej cery modlić się pospołu, każda sekta amerykańska buduje osobne kaplice dla dzieci Chama, osobne zaś dla potomków Jafeta. Jednakże nazywają się one chrześciańskiemi społeczeństwami!

Wątpię, ażali istnieje na ziemi plemię tkliwsze na wrażenia religijne, skorsze do wyznawania publicznego swoich przekonań, od murzynów amerykańskich. Czarni katolicy poszczą i spowiadają się pilniej od Hiszpanów albo Irlandczyków. Ale katolicyzm i świetne obrzędy nie tyle trafiają do ich wyobraźni, jak fanatyzm skrajnych sekt protestanckich, nazwanych tu emocyjnemi, gdyż pozwalają na publiczne objawy gwałtownych uczuć, wywołanych w prostaczkach skutkiem modlitw gorących, hymnów hałaśliwych, kazań sensacyjnych. Metodyzm szczególnie przypada murzynom do smaku; Sambo lub Cezar należący do tej sekty może wyrwać się jak Filip z Konopi na każdem nabożeństwie i przemawiać do zebrania o zawiłych dogmatach, o „wyborze błogosławionych,“ „znaczeniu łaski,“ „znikomości dobrych uczynków.“ Znajduje on w nich pociechę, że wszystko co zbroił przez sześć dni nie wykreśliło go ze spisu wybranych, albowiem teraz czuje w sobie „Ducha,“ „łaskę,“ wie że należy do „błogosławionych.“ W kaplicy zwiedzanej przeze mnie w Louisville możnaby patrzeć każdej niedzieli na taką scenę np. że jeden z najprostszych obdartusów każe otwierać drzwi i okna, aby „Duch“ mógł spłynąć na mniej natchnionych i uczynić ich równie dobrymi jak on sam. Czasem zaintonuje taki samozwany kapłan hymn znany, dodając własne słowa do niego, a chór krzyczy z nim. Zgromadzenie przypomina wtedy dom waryatów. Hałasy, konwulsye i jęki podobne zdarzają się tylko na wschodzie, pomiędzy wyjącymi derwiszami.

Pomimo tej żarliwości niedzielnej, pobożność większej części owieczek uczęszczających do tej kaplicy, jak wyznał mi sam pam Prentiss z westchnieniem, nie sięga najczęściej głębiej, niż pigment, co barwi ich skóry. Nawet regularny pastor gminy, pobielający domy w dni robocze a naprawiający w siódmym dniu dusze swoich czarnych braci i sióstr, miał już przeprawy z policyą o pobicie własnej żony i drobne wykroczenia przeciw własności białych ludzi. Pan Prentiss twierdził prawie ze łzami w oczach, że nic nie znał łatwiejszego, jak uorganizować tysiąc murzynów w parafię, której każdy członek spełnia najgorliwiej i najpunktualniej wszystkie obrzędy sekty, nic zaś trudniejszego, jak ustatkować chociażby jedno serce murzyńskie. Mówił, że poznał tych ludzi gruntownie, bo poświęcił się badaniu ich. Otóż wedle swego zdania cechuje ich pewna przewrotność, zamiłowanie w drobnych, brudnych wadach, jakoto kłamstwie bez celu, nieuszanowanie *meum et tuum* w codziennych stosunkach. Za to, mówił on, nie podlegają oni popędom do występków wyrachowanych, groźnych społeczeństwu. Gdy grzeszą, grzeszą jak dzieci zepsute, uparte, lekkomyślne do tego stopnia, że zapominają o wszelkich przyrzeczeniach poprawy.

Ponieważ Louisville jest głównem ogniskiem handlu nad niższą Ohio i portem tytuniowych krajów, więc zawiera ajencye wielkich domów handlowych europejskich, a nawet państw np. Austryi, trudniących się monopolem tytuniowym. Bogactwo tutejszych kupców stworzyło śliczne przedmieścia z pałacyków, w których mieszka plutokracya, posiadająca składy w środku miasta. Pod tym względem prześciga Louisville niektóre znacznie większe amerykańskie miasta. Przechadzka po tych cichych bulwarach, ujętych w pałacyki rozmaitych stylów, pośród ogrodów, przypomina włoskie sceny. Louisville nie leży daleko od Cincinnati w prostej linii, lecz taka zachodzi różnica klimatu pomiędzy temi miastami, jak pomiędzy południowemi Niemcami a Lombardyą. Ogrody z cyprysów w Louisville nie tracą wdzięków nawet w zimie. Ogólnie mówiąc, Kentucky, Tennesee i sąsiednie stany leżą już po za granicą zimowych huraganów, przebiegających bez oporu od północnego zachodu, przez stepy po za Missisipi, do krajów nad wyższą Ohio. Cincinnati, zbudowane na granicy tych prądów podbiegunowych, leżąc w szerokości Palerma, miewa mrozy godne Warszawy. Ale Louisville niedalekie od niego, bardzo rzadko odwiedzają zimowe burze. Nie zna ono także huraganów południowych. Ten pas szczęśliwy nazywają w Ameryce „strefą ciszy.“

Skutkiem przewagi żywiołu północnego i niemieckiego, miasto to urządziło przykładny system wychowania publicznego od najniższych szkółek ludowych, do najwyższych i specyalnych zakładów naukowych. Co lepiej, nie wyłącza z nich ludzi żadnej religii, albo cery. Natomiast wyłączają się z nich katolicy z własnej woli; ponieważ nie są zaś tu o tyle liczni jak np. w Cincinnati albo Chicago, gdzie urządzili własne, bardzo dobre szkoły, więc dzieci ich źle wychodzą na unikaniu szkół wiejskich. Cały ten spór szkolny, tak zacięty i ważny w Ameryce, wywołany odżywionym duchem sekciarstwa, krzywdzi niewinne, młode pokolenie i odnawia rozbrat społeczny, godny tylko średnich wieków.

Stolica tytuniowych okolic chlubi się jeszcze jedną rzeczą niepospolitą, pyszną, bogatą w księgi, otwartą dla wszystkich i zawsze pełną czytelników biblioteką. Wątpię jednak, ażali przysługa wyrządzona ludzkości przez ten księgozbiór, wynagradza krzywdę zadawaną przez loteryę, utrzymywaną przez rząd, celem zasilania biblioteki. Stany północne dawno już zniosły u siebie ten system tomboli na dobre cele, ale Kentucky trzyma się jego, demoralizując sąsiednie okolice powabami loteryi ciągnionej w Louisville. Wygrane na niej wynoszą niekiedy 100,000 dolarów.

Z tego wesołego grodu powiozła mnie kolej przez kraj żyzny i malowniczy do Frankfurtu, siedziby rządu stanowego, miasta niewielkiego, lecz położonego w środku stanu, więc wybranego na Kapitol (stolicę), wedle trybu amerykańskiego, który nie umieszcza władz naczelnych w wielkich ogniskach ludności. System ten wzmacnia wpływ wieśniaków i małych miast na niekorzyść wielkomiejskiego proletaryatu.

Część Kentucky pomiędzy Louisville i Frankfurtem przedstawia się nieźle. Fabryki, młyny, schludne dworki, gaje, łany tytuniowe, sady i pałace niekiedy, przesuwają się na wstędze, mijającej okna wagonu. W tej pięknej okolicy mieszka lud, którego powierzchowność zdradza siłę i śmiałość. Rodowici obywatele Kentucky pochodzą z dziadów przesiedlonych z Wirginii, tę zaś zaludnili pierwotnie kawalerowie czyli szlachta, wypędzona z Anglii przez Kromwelistów. Potomstwo tak dobranych kolonistów długo celowało fizycznie i umysłowo nad innymi Amerykanami. Wirginię nazywano „matką mężów stanu,“ albowiem oprócz Washington'a rodziła przewodników dla całej rzeczypospolitej. Wirgińczycy i synowie Wirgińczyków w sąsiednich ziemiach odznaczają się dotąd krzepkością i urodą, budową silną a rysami delikatnemi, cechami plemienia, co żyło dostatnio przez wiele pokoleń. Wspomniałem już o zadziwiającej piękności rąk i stóp dam, a raczej wszystkich niewiast tutejszych. Nie mówiłem o wrażeniu osobistem lecz o rzeczy sprawdzonej nawet przez szewców. Pewien znany szewc paryzki, odziewający stopy arystokracyi rozmaitych krajów, przyznał prym nóżkom kobiet nad Ohio, nawet nad Kubankami i Paryżankami. Ręka każdej przekupki z kwiatami na perronach z Louisville do Frankfurtu, mogłaby służyć za model w szkole rzeźbiarzy.

Tutejszy Frankfurt nie leży nad Menem lub Odrą, lecz nad wspomnianą już rzeką Kentucky, w cudnem położeniu. Kotlinę zawierającą miasto otacza łuk umajonych pagórków (wydają śpilkowe drzewa), a rzeka płynie głęboko pod miastem, w parowie zamroczonym. Tam, 300 stóp pod domami, brzęczą i szumią wody ścierając ciemno-błękitne, wapienne opoki. Ściany te błyszczą w południowej porze na kształt kobaltu, po rzece przechadza się tarcza słoneczna, mchy na skałach, rdzawej barwy rzeczywiście, nabywają połysk drogich kruszców i kamieni, krzewy wieszające się po ścianach zmieniają się w siatki ze srebrnych nitek, widz sądzi, że skarby Golkondy wysypano w tę otchłań.

W czasie moich odwiedzin Frankfurtu, przypominał on pompejańskie miasto, z budynków bez ludzi. Sejm, sędziowie trybunału najwyższego w Kentucky, gubernator, urzędnicy, słowem cały świat i jego żona, odbywali ferye. Hotele opustoszały, ruch uliczny i handlowy zamarł, bo Frankfurt żyje z oficyalnych żywiołów. W ich nieobecności staje się wsią głuchą. Przechadzając się po rozległych, próżnych salach głównego tutejszego hotelu, gdy tylko szelest moich kroków odbijał się o ściany wyłożone orzechowemi taflami, mogłem się łudzić, iż zabłądziłem do opustoszałych komnat w pałacu Montezumy. W tym hotelu zmieściłaby się połowa stałych mieszkańców Frankfurtu; niech jeno zjadą się senatorowie, posłowie, sędziowie, adwokaci i klienci trybunału, przepełnią go od sutereny do poddasza, nad czwartem piętrem.

W porze obiadowej, przekonałem się, że w niedociekłych głębiach tego hotelu mieszkało kilka rodzin, które zebrały się w jadalni, przy wspólnym table d'hôte. Rozmawiano o miejscowych sporach politycznych, nie obchodzących mnie zgoła. Probuję dywersyi. Pytam sąsiadkę po prawej stronie o zdanie co do najnowszej powieści, która wywołała na Północy żywe zajęcie, a przedstawiała życie południowe. Nie czytała jej, nie mogłaby czytać, gdyż na autora jej spadł wyrok ostracyzmu w „dobrym“ świecie południowym, z którego on pochodził, lecz którego opinii nie podziela. Wnet potem częstuje mnie nadobna sąsiadka litanią skarg o rozprężeniu społecznem, skutkiem hardości sług czarnych. Mieszkała z mężem w hotelu, aby tylko ze sługami nic nie mieć do czynienia, ale i hotelowa służba przybiera już tony; jeżeli to tak dalej potrwa ucieknie do Europy, gdzie proletaryat potulniejszy, lub do Kalifornii, gdzie Chińczycy służą. Szukając zbawienia od tego chodzącego lamentu, zwracam się do sąsiada po lewej stronie, co zlizuje sos z talerza końcem noża, nakształt snob'ów Thackeraya i dłubie w zębach widelcem. Pytam go o ciekawościach, zasobach, trybach gospodarstwa i t. d. w swojej ojczyźnie. Nic nie wie, rzeczy te mało go obchodzą, nazywa się plantatorem, lecz niewiele wie o plantacyach nawet, albo o własnych interesach. Żywo go jednak zajmuje, kto będzie kandydatem na prezydenta; pyta mnie o zdanie; dodajmy, że dopiero za 11 miesięcy wypadnie wybierać prezydenta, więc czas jeszcze do rozpraw o tym przedmiocie. Odpowiadam więc, iż rzecz ta mnie nic a nic nie obchodzi. Dziwi go to; jeszcze mocniej go zadziwiło, gdy uciekłem od stołu nie dojadłszy obiadu, aby tylko ujść jego wyczerpującej rozprawy o partyach swojej parafii.

Z pośród takiego towarzystwa wyniosłem się nazajutrz. Przenosząc dobre bydło nad głupich ludzi, lękając się polityków, co z próżniactwa zagłębiają się w ramy gazetek pisanych przez ludzi nie o wiele mędrszych od siebie i wysnuwszy z nich głębokie kombinacye, trapią takowemi bliźnich ceniących swój czas. Wyjechałem do fermy pana Aleksander (imię własne).

Leży ona o 9 mil ang. od Frankfurtu, będąc Mekką gospodarzy amerykańskich, a nawet angielskich, nietylko z powodu wzorowego gospodarstwa, lecz najlepszej stadniny w Ameryce i jednej z najlepszych obór. Konie z tej fermy kupują chciwie Amerykanie, bydło (szorthorny) wywożą czasem i do Anglii.

Własność pana Aleksander'a leży w „kraju błękitnej trawy,“ tej wybornej paszy, właściwej części stanu Kentucky, lepszej dla bydła nad sztuczne trawy wilgotnego Albionu, pokaźnej skutkiem żywej zieleni listków i błękitnej barwy kolanek źdźbeł swoich.

Żeby dojechać do tej fermy nająłem jednokonkę z miejscowej masztelarni, rozumie się bez woźnicy, po amerykańsku. Jak zwykle bywa, w podobnych razach, koń zgubił podkowę bardzo prędko, a że miewałem już nieprzyjemności z powodu podbicia koni najętych, zatrzymałem się w najbliższej karczmie i posłałem rosynanta do kuźni tuż naprzeciw. Nim powróci, kazałem sobie podać przekąskę. Karczmarz powtórzył rozkaz murzynce, świecącej nakształt butów wyglansowanych. Słyszałem, jak *sotto voce* polecił, aby mi nie nakryła w najlepszym parlorze, lecz w pospolitej izbie. Była to obelga, lecz nie zwróciłem na nią uwagi. Ów najlepszy parlor rezerwowano dla miejscowych panków, nie wpuszczając do tego sanctissimum tutejszego gminu lub obcych gości, którzy prawie zawsze bywają komiwojażerami, gdyż innego zawodu człowiek nie zajrzałby do takiej karczmy, chyba skutkiem nadzwyczajnego wypadku. To dzielenie parlorów wiejskiej gospody wedle kast, wpuszczanie do izby najlepszej panków co jadają na kredyt i nie kwapią się z uiszczeniem długu, a wyłączanie z niego ludzi co płacą gotówką i bez targu, należy do niepojętych dla mnie tajemnic ludzkiego przesądu. Tak np. nie mogłem nigdy pojąć w Rumunii, dla czego nazywano gołego miejscowego bojarka „kukon,“ cudzoziemca z pełnym trzosem tylko „domnul,“ a jeszcze zamożniejszego żyda „żupan,“ w hotelu, który powinienby cenić obcych wedle ich chęci i szczodrości w płaceniu rachunków.

Ferma, którą zobaczyłem w godzinę po zdarzeniu powyższem, zasługuje na wszystkie pochwały, jakie słyszałem o niej. Stajnie jej zawierają potomstwo Lexington'a i Asteroidy, których krew uszlachetniła stadniny całej rzeczypospolitej.

Potrzeba dobrych i rączych pojazdowych biegunów w swoim rozległym kraju, zmusiła Amerykanów do stworzenia nowej rasy koni, uszlachetnionych krwią najlepszych folbludów angielskich, lecz odmiennej od nich, gdyż te, przeznaczone pod siodła i do galopu, nie posiadają niektórych cech, niezbędnym koniom chowanym do uprzęży i kłusu. Kłus tutejszy także się różni od europejskiego, będąc wynalazkiem amerykańskim, wpojonym długą i mozolną nauką, odziedziczanym przez każde następne pokolenie koni w coraz doskonalszym stopniu. Zręczny chów dodaje rączości biegunom amerykańskim. Nawet Lexington, król rączych koni przed 20 laty, nie byłby ubiegł mili ang. w 2 min. 30 sek., dziś drugorzędne konie dokazują tej sztuki, podczas gdy pierwszorzędne spełniają ją w 2 min. 16—20 sek., a słynna Goldsmith Maid nawet w 2 minut 14—15 sekund.

Konie kłusujące wychodzą ze szkoły na arenę dopiero w 13 albo 14 roku życia i trwają często w dobrym stanie do 20 roku.

Wspomniona Goldsmith Maid, oraz kilka innych najcelniejszych koni rzeczypospolitej, urodziły się w stajni pana Aleksander'a. Ponieważ umiejętne trenowanie więcej podobno znaczy w tej rzeczy niż krew nawet, więc być może, że stajnia pod Frankfurtem więcej zawdzięcza swoim trenerom murzyńskim niż Lexingtonowi. Lecz najpierwsza krew folbludów angielskich płynie bezwątpienia w koniach tego rodzaju, o czem świadczy charcia budowa ich cielsk długich i okrągłych. Głową przypominają jednak wytrwałe meksykańskie mustangi; te chude, ogniste, żylaste główki prawie że przymieszka krwi z Andaluzyi, dodała koniom tutejszym zalet osobliwych. Żaden sławny rumak w Kentucky nie posiada czystego rodowodu ze sztudbuchu angielskiego. Zdaje się, że sprowadzenie angielskich rodziców wywarło podobny skutek na miejscową rasę, jak sprowadzenie arabskich ogierów do Wielkiej Brytanii na angielską. Ulepszyło ją, lecz nie zatarło jej indywidualności. U nas, przy klimacie i stosunkach podobnych do amerykańskich, możeby rozpowszechnienie tej kłusującej rasy wydało lepsze owoce, niż chowanie trzeciorzędnych, sportowych, angielskich biegunów. Małpujemy — przebierajmyż w modelach. Amerykanie nie podzielają naszego braku oryginalności. Potrzebując koni do drogi, nie zaś do sportu, stworzyli nowy rodzaj biegunów, a później sport, odpowiedni nowym koniom.

Szorthorny pana Aleksander'a cieszą się prawie równą sławą, jak konie jego. Płacą mu niekiedy po 2,000 funt. szter. za byki, wywożone do Anglii, a za jedną krowę zapłacono 4,000 funt. szt. Tylko Wiliam King w Minnesocie posiada lepsze bydło rogate w Ameryce.

Sprzedaż przychowku ze stajni i obory z fermy pana Aleksander'a odbywa się raz w rok, we Frankfurcie, w drodze publicznej licytacyi. Miasto przedstawia wtedy nasze kontraktowe sceny. Złoto i banknoty przechodzą z rąk do rąk garściami na zielonych stołach, a najlepsze wyścigi w Ameryce odbywają się na błoniach, za miastem.

Cała ta okolica należy do błogosławionych krajów. Nie dość że buja cenną błękitną trawą od Frankfurtu do Lexingtonu, posiada lud urodziwy, rolę żyzną, klimat zawsze prawie wiosenny, wódkę rzadkiego smaku, ale w niej zawiązało się pierwotnie skrajne demokratyczne stronnictwo, zwane Burbonami, nie od Burbonów europejskich, lecz od hrabstwa Burbon, czyli ziemi błękitnej trawy. Partya ta trzęsie południem i całem stronnictwem demo-

kratycznem. Oprócz imienia podziela burboński dar, że niczego nie zapomina i niczego się nie uczy.

Każdy podróżnik do Ameryki, który przeżył chociażby tylko kilka tygodni w lepszym hotelu w New Yorku, delektował się burbońską wołowiną, płacił podwójną cenę za *whisky* (starkę) z Burbonu, słyszał pochwały ognistych źrenic, rysów klasycznych, kibici i nóżek godnych bogini miłości burbońskich kokietek; może nawet wzdychał, że nie mógł mieszkać w tem błogosławionem hrabstwie Burbon, ojczyznie tylu cudów i takich rumaków! Kto pierwszy rzuci kamieniem na tę zazdrość?...

Kraj błękitnej trawy sięga od Frankfurtu do Lexingtonu, najbliższego mojego popasu w podróży na południe.

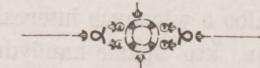
Lexington tworzy dla podupadłej, rolniczej, południowej arystokracyi rodzaj Faubourg Saint Germain i Baden Baden naraz. Ludzie co za dobrych, niewolniczych czasów wydawali książęce intraty w Paryżu, Florencyi, New Yorku lub najmniej w Louisville, zadowolnią się teraz zimowemi leżami w parafialnem miasteczku, nadając mu ton wykwintny, gdyż zubożenie nie pozbawiło ich smaku i ogłady. Zamiast Vichy i Saratogi odwiedzają w lecie kąpiele mineralne, tuż pod Lexingtonem. Louisville oddali zaborowi fabrykantów, przemysłowców, kupców hurtowych z ziemi Yankesów i Niemców. Dobre i stare rodziny Kentucky, mieszkają tu w rajskiej okolicy, śród parków równych wzorom angielskim, założonych za dobrych czasów. Kilkanaście podmiejskich pałaców otaczają rozległe parki, z jeziorkami i t. p. Sztukę kucharską przechowano w Lexingtonie równie troskliwie jak parki, a wybrzeża Ohio wydają dobre i tanie wino *Catawba*. Można więc żyć wesoło w tej mieścinie i bez iutrat pańskich. I żyją wesoło. Gość z jednym listem rekomendacyjnym mógłby tu obiadować bezpłatnie i smacznie przez rok, bo przy pierwszej formalnej wizycie, zaproszono go na jutrzejszy obiad; tam spotkałby kilka osób, każda z nich poprosiłaby o wizytę, ztąd dalsze obiady i dalsze znajomości i znów obiady i t. d.

Okolice Lexington'u rodzą może najlepszy tytuń w Ameryce, więc przy starannej uprawie powinnyby przynosić ogromne zyski. Przynosiły niegdyś — wtedy ceniono każdy *acre* ($^2/_3$ morga) tutejszy 150 dolarów. Niewolnicy uprawiali każdy cal tych cennych gruntów. Ze zniesieniem niewoli stracono robociznę, grunta wyczerpywały się, nie posiadano kapitałów na sztuczne nawozy, niezbędne do uprawy tytuniu i bawełny, a grunta przechodzą teraz w ręce nowych właścicieli za $^1/_3$ dawnej ceny. Wioski murzyńskie wyludniają się, ogrody zarastają chwastami, pałace tracą drzwi, okna, dachy, pochylają się i spoglądają smutnie na widok opustoszenia i wyludnienia. Las, wypędzony dawniej na gór szczyty, wypasający niezliczone stada nierogacizny dzikiej na poły, zniża się znów i wkrada w łany wykarczowane.

Takie wrażenie sprawia przejażdżka po za obrębem przedmieść Lexingtonu i parków przylegających do miasteczka. Wszystko dzicieje. Pytałem dla czego nie sprowadzą europejskich kolonistów. Odpowiadali, iż koloniści upominają się po krótkim pobycie o przywileje polityczne, a nawet wybierają swoich nieokrzesanych towarzyszy na urzędy. Czasem udaje się jednak panom plantatorom sprowadzić ludzi, nie umiejących zgoła po angielsku, tudzież nie znających ustaw krajowych; takich robotników przyjmują chętnie. Jak się obchodzą z nimi, dowiedzie los kilkunastu rodzin polskich, które sam poznałem w Cincinnati.

Przybyły one do Cincinnati, cokolwiek przed moim odjazdem na Południe, bez odzieży i obuwia, z choremi żonami i dziećmi; wprost z plantacyi pod Lexington'em, na którą zwabił ich jakiś niemiecki agent, obietnicami gór złotych. Przywiózłszy ich do okolicy wilgotnej i niezdrowej w lecie, oddał ich w pieczę plantatorowi uchodzącemu za typ południowego panka. Ten ogładzony panicz umieścił biednych przywłoków w nędznych, dymnych chatach, opuszczonych przez murzynów, którzy, wedle zwyczaju, wynieśli się do miast, żeby żyć z lekkiego zarobku (*).

(d. c. n).



ORGIA.

W Ferrarze (we Włoszech).

Niebo płonie księżycem srebrnym swoim licem,
Gwiazdy jak żyrandole świecą na lazurze,
Tylko się jedna patrzy zabłąkana w chmurze,
Patrzy, bo widzi Orgię...

W pałacu wielkim, co tak oświetlony
Jak gdyby słońce tam w nim zamieszkało,
Słychać pieśń dziwną, bo ona bachiczną,
Dla biednych smutną, dla bogaczów śliczną;
A słowik w krzaku laurowym — ów wiosny
Poeta, śpiewa ciągle hymn radosny,
I śpiewa swojej — piosenkę miłości,
Pełną radości ale i żałości,
A ptaki milkną wtedy jak kamienie,
Bo ich zdręczyło zazdrości cierpienie.

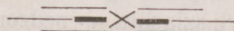
W pałacu gwarno! bo tam Messalina

(*) Ci sami chłopi polscy opowiadali zgodnie, dla czego chaty dane sobie opustoszały. Słowa ich, malujące rysy społeczne w Kentucky z dziwną wiernością, podaję w przypisku, jako rzecz niewidzianą własnemi oczyma, ani potwierdzaną badaniami na miejscu; wierzę w nią jednakże zupełnie, gdyż sprawdziłem ją w Cincinnati.

W okolicy Campbellsburgu, w hrabstwie Henry, Kentucky żył zamożny młody i przystojny mulatta, nazwiskim Smith Reed. Wychowano go w czasach niewolniczych w domu starego Jana Campbella, właściciela niewielkiej plantacyi. Pomiędzy mullatą i Alicyą Campbell, córką pana, istniała dziecinna zażyłość. Reed dorobił się mienia po uwolnieniu, w służbie wojskowej. Rzuciwszy się do uprawy tytoniu urządził lepszą fermę, niż większość białych gospodarstw w okolicy. Alicyę wydano za swego kuzyna Jakóba Campbella. Złe języki zaczęły szeptać, że murzyn Reed i Alicya Campbell przypomnieli zażyłe lata młodości skutkiem przypadkowego spotkania. Oskarżono żonę przed Jakóbem Campbell. Zazdrosny wezwał pomocy białych sąsiadów przeciw osobie niższego plemienia, co mu odebrał miłość żony. Zwołano pod broń wszystkich drobnych, białych właścicieli. Przeszło sto jeźdźców nawiedziło dom Reed'a, oraz wszystkich prawie murzynów w okolicy, wyciągając właścicieli z łóżek, bijąc ich, kalecząc niekiedy i dając im do wyboru pomiędzy niezwłocznem opuszczeniem stanu lub śmiercią. Słowem ukarano występek Reed'a wygnaniem wszystkich rodzin murzyńskich, jako „złego demoralizującego śmiecia.“ Reed posiadał łany uprawne, bydło i cenną własność. Niektórzy murzyni także mieli się dobrze, lecz musieli wszystko opuścić. Rzeczy te sprzedano za bezcen, posełając im pieniądze później, do Cincinnati, gdzie wygnańcy osiedlili się. Cała ta rzecz działa się wbrew protestom wielkich plantatorów, którzy żałowali straty rąk roboczych. Tę stratę zastąpili oni parobkami europejskimi, których los oceni czytelnik w toku mego opowiadania.

Sznur pereł ze swej tak zerwała szyi,
Że się rozbiegły jak kwiaty lilii.
Spojrzała potem...
W pośród kolumn cienia
Czarny niewolnik patrzył w te spojrzenia,
Wyrwał z za pasa swój sztylet — i jękło
Coś przeraźliwie... Jemu serce pękło.

Miron.



Kwestye i Sprawy.

(Dokończenie).

Włościanie nasi, jak wiadomo, pracują fizycznie tylko tyle, ile ich do tego zmuszają głód i konieczna potrzeba; do robót dworskich najmują się bardzo niechętnie, tak że w wielu miejscowościach właściciele ziemscy muszą najmować żołnierzy lub sprowadzać robotników z zagranicy. W zimie włościanie powszechnie próżnują, bo nie mają w polu roboty, a domowej pracy sobie wynaleźć nie chcą: pisano już o tem nieraz w pismach publicznych, stawiąc za przykład rolników zagranicznych, którzy w zimie trudnią się koszykarstwem, tokarstwem, rzemiosłami, a kobiety — wyrobem kwiatów, haftem i t. p. O pociągu tychże włościan do pracy duchowej nie ma co i mówić, skoro nawet do nauki czytania po większej części mają wstręt, a może więcej skąpstwo jest główną przyczyną, że nieradzi mieć szkółki i posyłać do nich dzieci. Podobnie jak włościanie klasa mieszczan i rzemieślników po większej części pracuje także za mało: ztąd rzadko drogą pracy dojść mogą do oszczędności i zasilają sobą częstokroć tłumy proletaryatu i żebractwa; zamożniejsi zaś, bardzo prędko dochodzą do nadętości i udawania *panów*, a zatem, zgodnie z tradycyjnym przesądem, zaczynają gardzić pracą fizyczną i wstydzić się takowej, niezdolni będąc do pracy wyższej duchowej i jeszcze więcej ją lekceważąc. Nakoniec, co się tyczy warstw tak zwanych wyższych, do których — mówiąc nawiasem — pomimo demokratycznych teoryi wieku, u nas coraz to więcej ludzi rachuje siebie chętnie, bez wielkich praw i tytułów do wyższości, ludzie tych warstw więcej umieją używać niż pracować. Z liczby ich ci, którzy władają ziemią, przez niechęć do pracy przygotowują zubożenie potomstwa, bogacą eksploatacyjne plemię izraelskie, ułatwiają i przyspieszają przejście ziemi przodków w ręce przybyszów niemieckich. Ci zaś, którym z dawnej puściny zostały tylko herb, nazwisko i nieco pychy szlacheckiej, tradycyjnie gardząc pracą ręczną, chwytają się wprawdzie innych rodzajów pracy, ale tylko dla chleba, wdrażając i w dzieci tę zasadę, że uczyć się i pracować potrzeba dla karyery, dla zyskania środków utrzymania. Zasada to, choć u nas powszechna, ale błędna, gdyż człowiek pracować powinien dla tego samego, że jest człowiekiem, uczyć się i kształcić dla tego, ażeby udoskonalić się wszechstronnie i stać się godnym tego miana. Co się zaś tyczy karyery i chleba, te, jako wynik uzdolnienia, są rzeczą, która sama przyjść musi, gdyż w dobrze urządzonem społeczeństwie ludzie wykształceni nie mogą być bez chleba. Stosując tę zasadę, ojcowie rodzin pracują sami w swém zawodzie byle tylko wyżyć, jak przez pańszczyznę lub z napaści, a dzieci sposobią do przyszłej karyery powierzchownie, dbając więcej o pozory — o patent lub nagrodę szkolną więcej niż o istotną naukę, zbogacenie wiadomości. Ztąd także proletaryat ciągle powiększa się z dniem każdym; ztąd w naszym to chyba tylko kraju zdarza się osobliwsze zjawisko, że choć kraj nasz nie jest przeludnionym,

uskarżamy się na brak ludzi uzdolnionych do rozmaitych zajęć, częstokroć poszukując ich za granicą, a jednak nigdzie pewno na świecie nie ma tylu ludzi bez zajęcia, napróżno poszukujących pracy. Klepiąc bowiem swoją *karyerę* z dnia na dzień, dla chleba, bez należytego uzdolnienia fachowego do innego, na wszelki przypadek, rodzaju pracy, folgując przy tem narodowemu lenistwu, gdy traf lub inne okoliczności wytrącą z dotychczasowej kolei, o co teraz nietrudno, niejeden, nic właściwie dobrze nie umiejąc, szuka zajęcia, jako pracownik „do wszystkiego" to jest właściwie „do niczego."

Jeżeli barwy powyższego smutnego obrazu wydadzą się komu zbyt ciemnemi lub skreślonemi przesadnie, bez względu na wyjątki, w takim razie prosimy uwierzyć, że o wyjątkach pamiętamy, ale nikt nie zaprzeczy, że wyjątki są istotnie wyjątkami, to jest mniejszością, że minął już czas owijania prawdy w bawełnę i ukrywania wad własnych; że wreszcie lepiej może zawsze wystawić jaskrawiej niebezpieczeństwa i strony ujemne, w celu skuteczniejszego pobudzenia do ich naprawy.

Jakimże więc sposobem owa naprawa mogłaby być przedsięwziętą? Czy nie ma środka podnieść pracowitość i stłumić rozwielmożniony w naszym narodzie wstręt do pracy? Byłoby o tem bardzo wiele do powiedzenia, zwłaszcza, gdyby dziennikarskie artykuły mogły skutecznie wpłynąć na stosunki społeczne i charakter narodowy. Ograniczając się więc do rozmiarów i przeznaczenia niniejszego artykułu, ze względu na charakter pisma, do którego jest przeznaczony, powiemy tylko o jednym z najważniejszych środków, który może i powinien być zastosowanym w każdej rodzinie z klasy tak zwanej wyższej czyli inteligencyi — a mianowicie o skutecznym wpływie rodziców, a głównie matki w celu rozwinięcia w dzieciach od niemowlęctwa pracowitości, a to przeważnie nauką i przykładem. Nie ma bowiem wątpliwości, że jak dotychczas, wychowanie domowe bardzo niewiele wpływa na dzieci w tym kierunku; a raczej wpływa przeważnie ujemnie. Tak że wspomnimy tylko główniejsze z tych wpływów, zbytkowne, często nad stan i możność, strojenie dzieci, karmienie ich łakociami, dogadzanie i zbyteczne pieszczoty, wszystko to rozwija w dzieciach zamiłowanie używania życia, jego wygód i przyjemności, a ztąd, przy wrażliwości natury dziecięcej, budzi niechęć do pracy, wymagającej natężenia, zaparcia się a często i niewygód, a więc nietyle ponętnej; wszystko to prowadzi następnie do rozwoju egoizmu, który niełatwo, połączyć z pracowitością, gdyż prędzej i prościej prowadzi on do chciwości, używanie przemocy i innych mniej godziwych środków. Dalej, niezmierna przewaga czasu zabawy i rozrywki nad ilością godzin pracy, pobłażliwie przez rodziców tolerowana, przyucza dziecko uważać za zadanie życia zabawę i rozrywkę, nie zaś pracę, która staje się tylko nudną przerwą śród ciągłej wesołości i zabawy. Utwierdza nareszcie dzieci w tem przekonaniu przykład rodziców i rodzeństwa; widzą one, że ojciec zajmuje się czemś jedynie dla chleba i tyle tylko, ile musi; słyszą zresztą i same, że trzeba uczyć się dla chleba, nie mając majątku; widzą że rodzice dbają dla nich więcej o promocye i patenta niż o prawdziwe wykształcenie; widzą że matka i starsze siostry nic po całych dniach nie robią, tylko czasem brząkają na fortepianie, dzielą czas swój między kościołem, spacerem, plotkami lub głośno na nudy narzekają. Oczywiście w takich warunkach pracowitość rozwinąć się nie może.

Mówią, że gdy przyjdzie rozum, wtedy zjawi się i pracowitość, ale nabycie rozumu wymaga także pracy, jest to więc niejako kółko fatalne. Zamiast więc czekać jakiego cudownego zstąpienia rozumu, rodzice, a zwłaszcza matka powinna zmienić powyższy sposób wychowania domowego, gdzie on istnieje, a z pewnością istnieje on, na nieszczęście w wielu rodzinach. Trzeba przecież kiedykolwiek uczynić początek, bo jeżeli matki wychowywać będą swe dzieci tak, jak same były wychowane w powyższy sposób, to jest wadliwie, to owa metoda będzie uwiecznioną i nadal i chyba znowu trzeba oczekiwać cudu, ażeby zmieniła się na lepsze. Nie należy także spuszczać z uwagi wychowania dziewcząt, a raczej głównie poświęcić mu uwagę, ażeby matki przyszłego pokolenia lepiej mogły przyuczyć swoje dzieci do pracowitości. Ażeby zaś niezwłocznie wziąść się do reformy wychowania domowego, te matki, któreby chciałyby to uczynić, a nie wiedzą, jak wziąść się do rzeczy, powinny niezwłocznie same zacząć się uczyć. Nigdy bowiem uczyć się nie jest zapóźno, zwłaszcza gdy kto ma tak wielkie obowiązki i tak ważny użytek do zrobienia ze swojej nauki. Przed zamężciem panna nauczyła się tylko stroić, czasem nieco po francuzku, brząkania na fortepianie, tańców i niedokładnych początków rozmaitych nauk, za które rodzice płacili pewną roczną kwotę, najczęściej z warunkiem nietylko regularnej corocznej promocyi, ale także pochwały i nagrody. Do tego wypada jeszcze czasem dołączyć pewną znajomość gospodarstwa domowego. Zostawszy żoną i matką, kobieta zapomina i zaniedbuje tego, co dało jej wychowanie, jako rzeczy przydatnych tylko dla panny, a natomiast spostrzega, że nie wie prawie nic, coby jej rozjaśniło wielką jej rolę i obowiązki macierzyństwa. Powiadają niektórzy, że te wiadomości przyjdą same instynktowo, ale to jest fałszem: instynkt wskazuje wszystko tylko zwierzętom, rozumu pozbawionym; człowiek zaś pod względem instynktu jest upośledzonym, ale za to posiada inteligencyą, która da mu więcej niż instynkt zwierzęcy, bo nabytki wyrozumowane, zgodne z celem i obmyślane, ale do nich potrzeba dojść drogą pracy i rozwoju. Potrzeba więc przedewszystkiem uczyć się i kształcić, a nie rozumiemy przez to zapalania się do amerykańskich teoryi emancypacyi, ale nabywanie najpotrzebniejszych wiadomości ze wszystkich nauk, głównie z nauki języka ojczystego, historyi, pedagogiki, hygieny, dyetetyki i to nabywanie drogą nietylko teoretyczną, z książek, ale także przez obcowanie i rozmowy z osobami wykształconemi i świadomemi życia, świata i jego stosunków, przez baczne zastanawianie się nad sobą, nad otaczającą nas przyrodą i nad codziennemi wypadkami i stosunkami, z których każdy może zbogacić umysł nasz zdrowym wnioskiem i pożytecznem spostrzeżeniem. Młoda matka powinna uczyć się gorliwie i wytrwale, choćby nawet miała uszczuplić nieco wydatki na stroje, obracając więcej na kupno książek, choćby miała mniej pokazywać się w świecie, trochę opuścić się w tańcu. Nauka i uważne następnie badanie natury dziecięcej wskaże matce drogę, na której wypadnie rozwijać w dziecku samodzielność, energię, umiarkowanie, cierpliwość, hart ducha i ciała, poprzestawanie na małem, miłość bliźniego i zarody tych wszystkich cnót, które zostają w związku z pracowitością i dopomagają do jej wyrobienia, a raczej wszystkie zbiegają się w pracowitości, jak we wspólnem ognisku, będącem zarówno ich wynikiem, jak i źródłem. Własny przykład rodziców, znaczy tu, jak powiedzieliśmy, najwięcej: niech więc dziecko ciągle widzi w domu robotę i pracę, ręczną zarówno jak umysłową; niech matka i córki nie wstydzą się np. robić same dla siebie wszystkie części ubioru (rozumie się, uprzednio nauczywszy się tego), niech zamiast czczych konwersacyi salonowych lub plotek i potwarzy rozlegają się w domu rozmowy poważne, mające na celu wyjaśnienie tej lub owej kwestyi, blizko nas obchodzącej, niech wyborowe książki bywają czytywane głośno i regularnie, niech każde z rodzeństwa uczy się pewnego rzemiosła, a jeśli można, to i kilku zajęć praktycznych, obok wykształcenia duchowego; niech wszystko robi się w domu poważnie i sumiennie; niech zawsze i wszędzie praca i obowiązek idą przed zabawą i rozrywką; niech rodzice pilnie wglądają w naukę dzieci, w jej postępy i braki; niech pozbędą się chorobliwej czułości, przesadnych pieszczot i pobłażania: niech jednem słowem nie zaniedbują żadnego środka, ażeby w dzieciach rozwinąć pracowitość. Rodzice a głównie matki! uczcie się sami, dopóki czas jeszcze i starajcie się podnieść w dzieciach chęć do pracy; wam to jedynie najskuteczniej powieść się może, choć owoce waszej pracy będą powolne, stopniowe z mozołem zdobywane. Zwalczajcie hydrę próżniactwa, która grozi niechybną zagładą społeczeństwu! To wasz pierwszy i najważniejszy obowiązek.

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

VI.

Księżyc, towarzysz Ziemi.

(Dokończenie).

Ciężkość na powierzchni Księżyca jest najsłabszą ze znanych dotąd. Wszelkie przedmioty ważą tam sześć razy mniej niż na Ziemi i przyciągane są sześć razy słabiej. Kamień ważący tu kilogram, ważyłby tam tylko 164 gram; człowiek ważący tu 70 kilogramów, ważyłby tylko 11 $^1/_2$ kil: Najmniejsze natężenie muskularne dozwoliłoby wskoczyć na nadzwyczajne wyżyny lub biedz z prędkością kuryerskiego pociągu.

Wpatrując się w Księżyc zdaje się iż widzimy na nim jakby ślad twarzy ludzkiej i tak przedstawiały go najdawniejsze mapy. Jest to jednak przypadkowe tylko podobieństwo, wynikające z ukształtowania geograficznego naszego satelity, i znika zupełnie gdy patrzeć przez teleskop. Pracowano wiele od wieków nad opisaniem tarczy Księżyca, plam i punktów świecących dostrzeganych na niej; oprócz postaci ludzkiej upatrywano na Księżycu obraz oceanu i lądu jakby odbity w zwierciadle: dokładniejsze spostrzeżenia obaliły te mniemania. Patrząc na Księżyc przez mocny teleskop, dostrzega się w plamach jego punkta błyszczące, powiększające się w miarę jak padają na nie promienie słoneczne, które cień rzucają za sobą. Nie ma wątpliwości że punkta te są wysokiemi górami, na których szczyty promienie słoneczne padają wprzód niż na części niżej położone, zaś punkta ciemne odpowiadają dolinom lub kraterom, do których nie przenika bezpośrednio światło słoneczne. Kształt tych gór jest zupełnie inny jak gór ziemskich, jest to jak gdyby niezliczona ilość pierścieni rozrucona po całej powierzchni, małych, wielkich, średnich, maluczkich, olbrzymich. Z powodu tego ich obrączkowego ukształtowania, pierwsi astronomowie obserwujący Księżyc w XVII-ym wieku, gdy wynaleziono lunety astronomiczne, nie wierzyli własnym oczom i przypuszczali że są to

budowle odpowiednie klimatowi i wzniesione przez mieszkańców Księżyca. Sam nawet Kepler podzielał to mniemanie. Wszystkie góry Księżyca są wewnątrz próżne. Wysokość ich jest doskonale wymierzona, najwyższe mają od 5,560 do 7,610 metrów.

Cała prawie powierzchnia Księżyca pokryta jest wulkanami wszelkich rozmiarów, jednakowoż pomimo niektórych odosobnionych spostrzeżeń, w ogóle astronomowie zgadzają się na to, że wulkany te są dziś już wygasłe. Od pół wieku, pomimo nieustających obserwacyi, nikt nie mógł dostrzedz niezawodnego wybuchu.

Powszechnie twierdzą, opierając się na zasadach naukowych, że Księżyc nie ma atmosfery, jednak kilku astronomów, a między nimi i Kamil Flammarion od lat 20 niezmordowanie obserwujący Księżyc, przypuszczają że może mieć atmosferę tylko bardzo rzadką i bardzo różną od naszej, „może także, mówi Flammarion, znajdują się tam pewne płyny, jak woda, ale w bardzo małej ilości. W braku powietrza, nie mogłoby także być ani kropli wody, ponieważ samo tylko ciśnienie atmosferyczne utrzymuje wodę w stanie płynnym, i bez niego woda musiałaby koniecznie wyparować niezwłocznie. Wreszcie może być iż owo zawsze niewidzialne dla nas półkole Księżyca jest bogatsze w płyny, w każdym razie niepodobna dowodzić bezwzględnie że na powierzchni Księżyca nie ma bezwarunkowo żadnej atmosfery, żadnego płynu.“

„Widzimy tedy że Księżyc najbliższy nam ze wszystkich planet, satelita naszej Ziemi, najlepiej nam znany ze wszystkich światów niebieskich, najwięcej różni się od naszego i dla tego niepodobna wywnioskować przez *analogię* w jaki sposób i przez jaki rodzaj istot mógłby być zamieszkany, co jednak nie upoważnia nas do zakreślania granic potędze Wszechmocnego i bezwarunkowego *zaprzeczenia* że może być zamieszkanym. Ale na korzyść tej hipotezy brak nam dowodzeń opartych na prawdopodobieństwie, jakie przysługują nam odnośnie do innych planet.“

Czy mogą istnieć istoty mogące żyć bez jedzenia i oddychania? Czy mogą wytworzyć się jakieś tkanki organiczne bez płynów i gazu, lub czy pewne organizacye mogą być tak utworzone aby przetwarzać ciała stałe na płyny i gazy? Czy na Księżycu mogą się odbywać pewne nieznane nam procesa chemiczne, któreby wlewały życie w to co nam się wydaje obumarłem, czucie w to co uważamy za martwe, nadawały ruch temu co zdaje się pogrążonem w bezwładnej nieruchomości. Chcąc odpowiedzieć na to trzebaby wydrzeć Przyrodzie wszystkie jej tajniki, a tak daleko jeszcze nauka nie dosięgła. Lecz nie wolno *twierdzić stanowczo*, mówi Flammarion, że Księżyc jest światem martwym, ponieważ nie może być zamieszkany przez istoty jak my uorganizowane.

Postęp nauki codzień niemal zadaje kłam zbyt zarozumiałym dowodzeniom uczonych. Jeszcze przed kilku laty przyrodnicy dowodzili jednozgodnie: że wszelkie życie zwierzęce kończy się niezbyt głęboko pod powierzchnią morza i że żadna forma życia nie istnieje w otchłaniach Oceanu, a twierdzenia te swoje popierali bardzo prawdopodobnemi dowodzeniami. I tak jako główne przyczyny podawali, *ciemność* bezwzględną panującą w tych głębiach, nie dopuszczającą ustalenia się kwasu węglowego i utworzenia jakiejkolwiek rośliny, oraz straszne *ciśnienie* przygniatające te strefy i zdolne zgnieść najpotężniejszego słonia. Jakież więc zwierzęta mogłyby żyć w tak wiekuistej nocy, nie mając nic do pożywienia, nie wiedząc nawet co ciał ich dotyka i nie mogąc drgnąć nawet pod przygniatającym ich ciężarem milionów kilogramów? Otóż najnowsze, wytrwałe i odważne poszukiwania badaczy, sondujących otchłanie Ocenu od Europy aż do Ameryki i od równika aż do kół biegunowych, wykazały dowodnie, że w otchłaniach tych życie zwierzęce istnieje zarówno jak na wybrzeżach. Istoty te są tak uorganizowane iż żywią się wodą morską, pochłaniając i przyswajając sobie rozpuszczone w niej zasady organiczne, są świecące i kierują się za własnem światłem; posiadają oczy podmorskie i nie tylko nie są zmiażdżone strasznem gniotącem ich ciśnieniem, ale są nadzwyczaj delikatne i prześlicznie ubarwione, lekkie, przezroczyste i tak czułe że wzięte w dwa palce zostają zgniecione.

I nie czują one bynajmniej ciśnienia przygniatających je 60 atmosfer, gdyż ciśnienie to zostaje zrównoważone w łonie ich lekkich pływających tkanek. . . . A przecież z naszym organizmem równie trudno byłoby żyć w tych strefach jak i na Księżycu.

Kwestya zamieszkalności Księżyca od wieków była rozbierana, i do dziś dnia to tylko możemy powiedzieć z pewnością: *że nie może być zamieszkany przez istoty utworzone na podób istot ziemskich.*

„Grunt Księżyca mówi Flammarion, nie zawsze był suchy, jałowy, jednostajny i nagi jakim się dziś przedstawia. Wśród strasznych wstrząśnień tworzyły się olbrzymie kratery i w zmieniających się epokach księżycowych powstawały coraz nowe, niweczące pierwsze i zajmując ich miejsce. W ciągu tych wstrząśnień wiekowych, życie mogło się wytwarzać na powierzchni Księżyca, podobnie jak powstawało na powierzchni Ziemi, lecz prawdopodobnie życie to już zaginęło, jak zarówno kiedyś zniknie na Ziemi. Może te ziemie księżycowe, które badamy z takiem zajęciem chcąc dopatrzeć się śladu ruchu żywotnego, tak jak i nasze pokłady geologiczne zamykają w swem łonie skamieniałe zwłoki i szkielety istot żyjących kiedyś na nich. A może także istnieje tam jeszcze życie zupełnie inaczej od naszego uorganizowane, które zmieniało się powolnie wraz z wiekowemi zmianami jakie zachodziły na powierzchni i w atmosferze, objawiając się w zupełnie odmiennych od ziemskich typach zwierząt i ludzi. Stworzonym aby żyć w nadzwyczaj rozrzedzonem powietrzu i zmuszonym pracować nietylko na wyżywienie ale i na oddychanie, nasza atmosfera byłaby zabójczą, i gdyby który z mieszkańców Księżyca mógł jakim sposobem zstąpić z niego i zejść na naszą planetę, znalazłby śmierć zanimby się dostał w te nawet strefy do jakich się podnosimy balonem.“

Dalej bardzo malowniczo opisuje autor krajobrazy Księżyca. Perspektywa powietrzna nie istnieje tam wcale, najodleglejsze przedmioty są równie dobrze widzialne jak i najbliższe, i można prawie powiedzieć że w w takich krajobrazach jest tylko jeden plan. Drgania dźwięków są nader słabe lub może wcale ich nie ma, zatem Księżyc musi być światem ciszy na którym wszechwładnie grobowe panuje milczenie. Daremnie, tam chcąc mówić poruszalibyśmy ustami i językiem, nie wydałyby żadnego głosu; jeśli Księżyc jest zamieszkany, to mieszkańcy jego muszą być głuchoniemi z urodzenia i mogą rozmawiać tylko na migi.

Z Księżyca widać wspaniałą gwiazdę niewidzialną z Ziemi, odznaczającą się tem że tkwi nieruchomie na niebie gdy tymczasem inne przebiegają za nią, oraz że pozornie jest daleko większa od innych. Gwiazdą tą jest nasza Ziemia, przedstawiająca na księżycu też same odmiany jakie on nam przedstawia tylko w odwrotnym kierunku. W chwili nowiu księżyca, Słońce oświetla całkowicie półkole ziemskie zwrócone ku Księżycowi i jest to *pełnia Ziemi*, przeciwnie zaś w czasie pełni Księżyca, nieoświetlone półkole Ziemi zwrócone jest ku naszemu satelicie i jest to *nów Ziemi*; gdy Księżyc jest w pierwszej kwadrze, Ziemia jest w ostatniej i tak dalej w tym stosunku. Te zmiany Ziemi lepiej są zastosowane do oświetlania Księżyca niż odmiany jego do oświetlenia Ziemi; Ziemia użycza Księżycowi 13 razy więcej światła niż Księżyc Ziemi, a noce księżycowe są zawsze wspaniale oświetlone i nigdy niebo jego nie pokrywa się chmurami, któreby przeszkadzały światłu Ziemi roztaczać się tam wśród nocnych ciemności.

POGADANKA.

Na Szymona i Judy z braku grudy ród koński rżał wesoło, kowale smucili się, a Warszawiacy wzdychali za powietrzem przez mróz oczyszczonem z gnijących miazmatów. Skwery prześlicznie bawią oczy, każdy ich przybytek Warszawa wita chętnie, ale stokroć chętniej powitałaby kanalizacyę, mniej kosztowną a stokroć pożądańszą.

Nie było więc grudy, a nawet deszcz rosił, rynny szemrały ciekącą wodą, ścieki cieszyły się spodziewaną kąpielą, a stróże z frasunkiem spoglądali w szare tło nieba, czy przypadkiem nie lunie ulewą. Ominęła nas, a nawet najmniejsza burza lub wichura nie zakłóciły spokoju mieszkańców. Anglia doświadczyła ich w całej wściekłości morskich huraganów trzymających ją jak w kleszczach w całem wyspiarskiem otoczeniu. Wicher z ulewą złączony tak się jednej nocy rozszalał, że osoby zaskoczone nim musiały się dobrze trzymać słupów, baryer i poręczy, żeby nie podlecieć w górę i nie zostać na miazgę rozbitemi. Na Tamizie pozrywało okręty z kotwic, w mieście popękały mury, dachy poszczerbiły się, wywracały kominy, spadały okna z ramami, słowem burza w całej swej grozie wyjąc i rycząc huczała przez noc całą, wyprawiając różne dziwy i szaleństwa jakich oko nigdy nie widziało, a ucho o nich nie słyszało.

Prowincya niemniej ucierpiała. Na północy i zachodzie zerwała wszystkie prawie druty telegraficzne, zniszczyła wiele okrętów, zatopiła mnóstwo ludzi, niemało zmiażdżyła, a setki budynków w gruz rozsypała. Czyż to rozpasanie żywiołów miało być przestrogą dla kramarstwa angielskiego, że dolar nie jest jedyną potęgą piszącą światu prawa? Czyby przypadkiem nie było przepowiednią straszliwszej jeszcze w przyszłości burzy, wstrząsającej do gruntu cały ustrój angielskiego społeczeństwa? Być to może... Kto co sieje to zbierze, a Anglia nie jest siewcą ewangielicznym, choć miliony Pisma Ś-go rozrzuca po świecie. Do tej niespodzianki burzowohuraganowej, przybyła druga z wielkiej nieostrożności, która o mało całe miasto Minton nie zbombardowała. Na wzgórzach o dobre pół mili odległych, odbywały się ćwiczenia artyleryi z bombami i granatami. Pukano z wielką zawziętością, nie zważając że miasto w pobliżu, to też na sam Minton padło pięćdziesiąt bomb, a całą okolicę zasypano granatami i pociskami. Ogień ustał dopiero wtedy, kiedy śmiertelnie strwożeni mieszkańcy wysłali posłańca z poleceniem wyjaśnienia pomyłki. Prasa domaga się na gwałt wykrycia właściwego winowajcy i ukarania go z całą surowością prawa. Ciekawa więc rzecz kto tu za winnego ogłoszony zostanie, czy bomby że szkodliwe, czy miasto że przez nieostrożność tak się blizko podsunęło pod plac ćwiczeń artyleryi. Ale i u nas miała miejsce burza... w szklance wody, zawsze jednak z ochotą wybryku swawoli, gdyby nie wdanie się stróżów porządku

publicznego. Na ofiarę jej skazaną została pani Jakowicka, z zapałem przyjmowana przez zagraniczną publiczność, którą teatr nasz z zadowoleniem powszechnem wprowadził na swoją scenę. Nie wszystkim to się spodobało. Znaleźli się niezadowoleni starający się przy oklaskach zebranych słuchaczy, sykiem wężowej złości czy zazdrości, przygłuszyć oznaki ogólnego uznania. Nie zważano na to, swawolników liczba zwiększała się, werbowana zapewne z malkontentów zakulisowych, aż wreszcie ucho w dzbanie urwało się, i na przedstawieniu Aidy, malkontenci skazani zostali na rozpamiętywania przy drzwiach zamkniętych.

Gorętszych także cokolwiek rozpraw stała się równie powodem kolej Nadwiślańska, która jakoś żadnym sposobem przyjść nie może do ładu z szynami i podkładami w całej swej długości. W uznaniu tej malutkiej nic nie znaczącej wady, wszystkim pracownikom przy jej budowie ma być dana gratyfikacya, a ginącym w nieszczęśliwych wypadkach wykolejenia lub utknienia pociągu, zarząd ma udzielić naganę, że kości mieli kruchsze od granitu, a przytomności żadnej, boć nawet głupi ptak zrywa się do lotu w chwili niebezpieczeństwa. Dowcipnisie powiadają, że furmani nic na tej nowej komunikacyi nie stracili, bo spiesznieј i pewniej od kolei dopełniają dostawy, Echo zaś wystąpiło z wybornym wierszykiem, w którym zwracając się do zwykłej kołowej jazdy powiada:

O skromna poczto władczyni szosy,
Zgniecione piersi i złamane nosy,
Jękiem ostatnim przyzywają ciebie,
W wielkiej potrzebie.

Ty, choć nam czasem każesz wysiąść w błoto,
I za kuryerką cwałować piechotą,
Wolimy ciebie i twój wóz zielony,
Niźli wagony.

Z tobą nie znamy co przedśmiertna febra,
Zwichnięte nogi i złamane żebra,
Zawsze bez szwanku byliśmy na szosie,
Gdy pękły osie.

Więc zaprząż poczto kościste wywłoki,
Trzęś nas po dziurach, gnieć kolana, boki,
Lecz porzuć żale, niechęci, rozterki,
I wróć kuryerki.

Ale i kuryerką podróż, szczególniej do Radomia, nie idzie jak z płatka.

Z Warszawy wyruszyliśmy po dziewiątej w nocy w deszcz i ciemnicę z jaką lepszą niełatwo się spotkać. Wykręcając po różnych dziurach Warszawy, wydobyliśmy się wreszcie na szosę. Jedziemy zatem... pocztylion zaczyna spać, my drzemać, a kareta trząść się i chwiać to w prawo to w lewo. Co stuknie, to pocztylion przez sen zawoła: wio! co się pochyli, jedna z pań głośno przeżegna się, druga woła: to mi droga dopiero *kompromitująca!* a ja odpycham sąsiada pragnącego gwałtem użyć mnie za poduszkę. Konie wloką się jak smoła, pocztylion zaczyna chrapać, żegnająca się pani zazdrościć snu woźnicy, druga narzekać na *kompromitacyą* powolnej jazdy, sąsiad kuć mnie głową jak młotem w kowadło, a ja bujać z myślami po gajach niebieskich migdałów.

Wreszcie około północy kareta zatrzymała się i pocztylion prosi abyśmy wysiedli i piechotą podrałowali do stacyi w Sękocinie.

— Pojadę, powiada, boczną drogą przez las, bo z ciężarem po wertebach nie poradzę.

Jak niepyszni wysiadamy, panie sprzeciwiają się, pocztylion nie ustępuje, następuje sprzeczka, łajanie, gniewy, ledwo że nie załebki, wreszcie pocztylion zgadza się na pozostanie samych pań, ale z warunkiem aby siedziały spokojnie.

— Ale czy aby nas mój pocztylionku nie przewrócisz? pytają obie pokorniutkim głosikiem.

— A! tego to ja nie wiem, odpowiada woźnica bez ceremonii.

— W imię Ojca i Syna! zawołała jedna z pań, a druga zaraz dodała gniewnie: a to mi dopiero *kompromitująca* odpowiedź!

Kuryerka rusza boczną drogą, światło latarni miga się, zmiejsza, dochodzą nas krzyki pozostałych w niej pasażerek, a my przerażeni zwracamy się, sądząc że kuryerka leci w przepaść.

Wreszcie przycisza się; światło od karety jak w telegrafie, to się zniża, to podnosi, świadcząc jak powóz wyborną posuwa się drogą i jak *kamprómitująco* trzęsie zamknięte w nim pasażerki. Zwracamy i my się ku szosie i tak się nam przekręciło w głowie, że zamiast ku Sękocinowi zaczynamy klapać się w stronę ku Warszawie. Krzyk jednego z podróżnych wstrzymuje nas w pochodzie, klapanię więc rozpoczynamy w przeciwnym kierunku, ale gęsiego, pod przewodnictwem najmłodszego. Co ten potknie się o kamień lub szaber, co utknie w dole lub w błocku, krzyk jego uczy nas rozumu, zbaczamy i w gorszą wpadamy biedę. Ja zbiłem już kolano, drugi wpadł w rów, trzeci najstarszy ciągle wrzeszczy: strzel w łeb nic nie widzę, jakbym nie miał oczów! Wleczemy się jednak: narzekamy, stękamy a jeden z jadących dla rozrywki opowiada nam różne zbójeckie napaści jakiemi wsławiły się sękocińskie lasy. Przechodzi nas mrowie; w każdej kupie szabru zaczynamy upatrywać przyczajonego zbójcę, w drzewie jego towarzysza, w odgłosie klapaniny sygnały do napaści a jak ktoś gwizdnął ze swawoli cała nasza karawana nagle przystanęła wstrzymując oddech. W tej chwili światełko od karety zgasło, wyciągnęliśmy głowyi nastawili uszy.. cisza panowała dokoła.

Dobrze po północy zababrani po biodra dotarliśmy wreszcie do Sękocina. Kareta jeszcze nie przyszła, uprzedziliśmy ją. Przed poczchalteryą stoją dwie próżne karety, w oknie błyszczy światło od lampki; zajrzałem, pisarz śpi w ubraniu ale tak smacznie, że przejęty współczuciem dla biedaka uprosiłem towarzyszy aby go nie budzili. O kuryerce ani słychać, mija godzina a kuryerki jak nie ma tak nie ma. Zaczynamy się niepokoić, jedni opóźnienie to przypisują zbójcom, drudzy obłąkaniu się pocztyliona inni wreszcie licznym rowom i kałużom ułatwiającym niezmiernie złamanie karku lub uduszenie się wrazie wywrotu karety. Postanawiamy zatem biedz z pomocą. Dla dodania odwagi ujmujemy sękate kije a towarzysz dla rozrywki znów nam prawić zaczyna o różnych figlach zbójeckich szczególniej w ciemne noce wyprawianych.

— Hop! hop! wołamy dochodząc do lasu. Nikt nic nie odpowiada. Powtarzamy okrzyk, to samo milczenie. Pocztylion zdrajca słyszał nasze nawoływania, ale paniom w kuryerce oświadczył, że w nocy w lesie na krzyki nie należy odpowiadać choćby rodzonemu ojcu. Idziemy więc dalej, szyszki i igły chrupią, deszcz pluszcze, wiatr szumi, wtem jak coś w lesie nie wrzaśnie... osłupieliśmy! Wyraźnie napaść na bezbronne kobiety a to ich krzyk rozpaczliwy wzywający ratunku. Słuchamy, cicho, coby to było takiego? Idziemy znów dalej, krzyk ten sam jeszcze okropniejszy ponawia się... nie ma więc wątpliwości że obie kobiety zostały zamordowane. Co tu robić? Czy iść z pomocą czy zmiatać do stacyi? Każdy oblicza się z własnym animuszem i widzę że ma ochotę dać nura. Stoimy zatem i namyślamy się, wstyd stacza walkę z bojaźnią, wahamy się, medytujemy... gdy nagle po raz trzeci jak niewrzaśnie, niezałomocze i niezapieje, tak ze wstydu aż zarumienieliśmy się i taką zawrzali zemstą na szkaradnego koguta, że gdyby był upieczony zjedlibyśmy go do ostatniej kosteczki. O drugiej dopiero po północy wyruszyliśmy do Tarczyna, pięć zatem godzin zeszło na przebycie siedemnastu wiorst co nawet pieszo prędzej dałoby się uskutecznić. Gdyby tę dogodność komunikacyjną przesłano na przyszłoroczną wystawę do Paryża, nagroda nie minęłaby przedsiębierców. Będzie to koncert przemysłowców całego świata, od nas wybiera się na niego mnóstwo wystawców... ale i w Warszawie koncertów w tym roku nie braknie.

Zapowiedzianych mamy mnóstwo: symfoniczne p. Kątskiego i kwartety klasyczne już się rozpoczęły. Towarzystwo także mnzyczne wystąpiło z koncertem, co święta zaś i niedziele w resursie obywatelskiej grywa dobrze znana i zasłużona Warszawie orkiestra Lewandowskiego. W sali zaś Doliny Szwajcarskiej popisuje się od kilku dni towarzystwo śpiewaków ruskich pod dyrekcyą p. Kolcowa. Występy ich ze zręcznem i umiejętnem zastosowaniem do właściwego rodzaju śpiewu ściągają licznych widzów. Szkoda tylko że pogoda nie dozwalała wielu osobom poznania bliższego grona tych artystów utalentowanych.

Z nowinek brukowych i niebrukowych, dochodzą nas wieści o zjawieniu się wilków w wilanowskich lasach. Musi to być prawdą, bo Kolce zamieściły karykaturę na warszawskiego myśliwca unikającego wszelkich zatargów zarówno z młodym jak starym wilkiem.

Powiadają, że pan Noach Seligsohn nauczyciel w Łodzi, wynalazł przyrząd mechaniczny do ułatwienia dzieciom nauki czytania. Ciekawiśmy go niezmiernie, ale dziwimy się że szanowny wynalazca tak niewdzięcznej poświęcił się pracy. Gdyby oddał się jej w przeciwnym kierunku, gdyby wykrył sposób nie nauczania lecz oduczania, powodzenie byłoby pewniejsze.

Powiadają także, że w Ameryce p. Louis używając prądów powietrznych jako jedynych przewodników elektryczności, zdołał porozumieć ze swoim sekretarzem oddalonym o kilkanaście wiorst od pomieszkania uczonego wynalazcy. Że też to ludzie nic nie dadzą spokoju, nawet powietrze chcą przemienić w posłańca myśli. Już para i elektryczność niemałego światu narobiły kłopotu, teraz z powietrza chcą kręcić druty telegraficzne jak z piasku bicze.

Najważniejszą jednak nowiną i niepodzianką wielce przyjemną jest otwarta wystawa wyrobów pracy kobiecej w Muzeum przemysłowem, wielki przynosząca zaszczyt komitetowi ktory zajął się jej urządzeniem. Na pierwszy raz zrobiono wszystko co się tylko dało zrobić; gust, pracowitość, zręczność, cierpliwość a nawet i niepospolite talenta naszych kobiet zajaśniały w całej pełni we wszystkich stanach społecznych. Nie brak też tu wyrobów włóczkowych, pończoszniczych na maszynie, z drzewa, misternie plecionych koszyków i wazonów, wyrobów galanteryjnych, haftów, wyszywań na aksamitach, suknie i kaszmirach, różnorodnych koronek, kwiatów sztucznych, dywanów włóczkowych, szydełkowych robótek, sukni, obrazów olejnych, malowideł na szkle i porcelanie, fotografii, heliominiatur, drzeworytów, rysunków na drzewie, dywanów ze skrawków różnych materyi, bukietu z chleba, z wielką wyrobionego sztuką i misternością, a nawet i prac literackich w postaci książki począwszy od modlitewnika aż do powieści pani Orzeszkowej i pani Marené stanowiących ozdobę naszej literatury.

Najwięcej jednak zajęły nas wyroby włościanek przedstawione przez hrabinę Zamoyską z Maciejowic złożone z grubych spódnic, fartuchów, chustek kraciastych: wyroby szewckie panny Aleksandrowiczó-

wnej wykonane przez uczennice jej zakładu: panny Kurnatowskiej rękawiczki z wiejskiego zakładu i prześliczne owoce za własnem jej staraniem wyhodowane: wyroby zakładu Ś-tej Marty i ochronek Tow. Dobr. i wreszcie wyroby dziewcząt z instytutu głuchoniemych i ociemniałych, złożone z prac bawełnianych, włóczkowych i szczotkarskich. Nauczenie tych biedaczek zajęć tak trudnych i mozolnych i z taką starannością wykonanych, dla zarządu stanowi prawdziwą chlubę i zasługuje na wszelkie uznanie.

Z ogólnego przeglądu całej wystawy, wynieśliśmy niezmiernie miłe wrażenie. Pierwsze lody przełamane, przykład dany przez zamożne nasze panie hrabinę Zamoyską i pannę Kurnatowską, stanie się niemałą zachętą dla innych. Przyklaskujemy im całem sercem; oby jak najwięcej znalazły naśladowniczek.

Przegląd literacki.

Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1875/6. Rok siódmy. Warszawa 1876 w drukarni Instytutu.

Na czele książki znajduje się obszerna, bo połowę jej zajmująca rozprawa p. Brzeskiego, nauczyciela głuchoniemych w Poznaniu: O metodzie uczenia rachunków. Autor słusznie powstaje tu przeciwko dawnej metodzie wykładu arytmetyki dla dzieci nietylko głuchoniemych, która poczynała się od abstrakcyjnych pojęć o liczbach, i radzi rozpoczynać naukę rachunków na przedmiotach zmysłowych, dotykalnych. Nauczyciel, według tej metody—niecałkiem zresztą nowej, bo już praktykowanej i w szkołach ogólnych, powinien zacząć naukę rachunków, pokazując dzieciom pewną ilość przedmiotów np. guzików lub orzechów. Dzieci, obdarzone zupełnemi zdolnościami, umieją już prawie zawsze z domu liczyć; głuchoniemych zaś potrzeba uczyć i tego. Pokazuje więc nauczyciel dzieciom pewną liczbę orzechów np. 3, 2, 5, 4, (niekoniecznie w kolejnym porządku) i jednocześnie podnosi tyleż palców, zmuszając i dzieci ażeby tyleż palców podnosiły. Potem już znowu nauczyciel pokazuje też same orzechy ale po kolei 1, 2, 3, 4, 5, podnosi tyleż palców, żeby dzieci nie wzięły samego *orzecha* za *liczbę*—jednocześnie pisze i na tablicy odpowiednią ilość kresek. Wskutek pierwszego okazywania w umyśle dzieci budzą się pierwsze pojęcia o ilości; drugie okazywanie po kolei daje już im poznać co jest mniej i co jest więcej, wzajemny stosunek liczb. W dalszym ciągu, ażeby utrwalić i rozwinąć te pojęcia, nauczyciel układa orzechy w szeregi czyli piramidy: w pierwszym szeregu 1, w drugim — 2 i t. d. a także rysuje na tablicy takie same szeregi przedmiotów najprostszych jak np. domków, liści, krzesełek i t. d. Nazywać liczb słowami i uczyć znaków liczbowych (cyfr) nie należy, dopóki uczniowie nie obeznają się z dodawaniem i odejmowaniem nad pierwszemi 10 liczbami. Potem dopiero dowiedzą się o słowach i liczbach. Tą samą metodą prowadzi dalej autor cały elementarny kurs arytmetyki. Przytoczyliśmy tu główne podstawy jego metody, dla tego że są one przydatne, jak powiedzieliśmy i dla nieupośledzonych od natury dzieci, z tą, jak się zdaje, różnicą, że takich dzieci niepotrzeba uczyć liczyć, bo to już umieją, z takiemi więc rzecz idzie łatwiej i nazwy liczb i cyfry powinny być im jednocześnie komunikowane. Względem głuchoniemych, autor to ostatnie uważa za niepotrzebne, powiększające trudności. Przy tem jednak powstaje pytanie: jak można obudzić w umysłach tych biednych dzieci pojęcia o ilości i liczbie bez odpowiednich wyrazów? Czy można w myśli liczyć nie używając wyrazów: jeden, dwa, trzy i t. d? Czy dziecko może sobie pomyśleć: teraz nauczyciel pokazuje trzy guziki lub orzechy, a teraz cztery i t. d., lub też: trzy orzechy więcej niż dwa, a mniej niż cztery i t. d. jeżeli same wyrazy *trzy*, *cztery*, są mu jeszcze nieznane? Kwestya to ciekawa i ważniejsza niż się na pozór wydaje, bo mająca związek z filozoficznemi zagadnieniami psychologii.

Przyjętem jest bowiem, że myśl nieodłączną jest od słowa — że myślenie to wewnętrzna rozmowa słowami. Wprawdzie dostrzeżono, że niektóre myśli pojawiają się raptem, niby iskry elektryczne, bez słów odpowiednich a inne nawet nie mogą być wyrażone słowami, tak, że niektórzy nowsi filozofowie podali znowu w wątpliwość zasadę nieodłączności myśli od słowa. Jak powstają w duszy głuchoniemych wrażenia, wyobrażenia i myśli bez słów? Niepodobna przeniknąć tej zagadki, a jednak istotnie powstawać muszą, choćby dla tego że przed nauczeniem się mowy, a choćby nawet migów, już głuchoniemy musi mieć pewne wyobrażenia i pojęcia, gdyż inaczej sama nauka migów i mowy byłaby niemożliwą, już zaczynając tę naukę, głuchonieme dziecko musi rozumieć czego od niego chcą i t. p. Metoda rachunków p. Brzeskiego zapewne wypróbowaną została w praktyce: a więc można nauczyć dzieci pojęć o ilości i liczbach bez znajomości słów takowe pojęcia oznaczających. Już z tych kilku uwag widać, jak ważne i pożądane dla psychologii byłyby wyniki doświadczeń tyczące się rozwoju i doskonalenia się umysłu u głuchoniemych; nikt zaś takich wiadomości nie może łatwiej zbierać i zestawiać nad tych, którzy oddają się ciężkiej pracy nauczania tych nieszczęśliwych istot. Zadaniem więc i obowiązkiem nauczycieli głuchoniemych jest zbierać wyniki swoich doświadczeń i dla dobra nauki podawać je do publicznej wiadomości. W niniejszym pamiętniku, oprócz artykułu p. Brzeskiego, znajdujemy jeszcze nieco podobnych skazówek w szczegółowych programach nauki mowy i języka polskiego, ale dość skąpych i niezbyt rozwiniętych. Mamy nadzieję, że w przyszłych latach Pamiętnik podawać nam będzie więcej tego rodzaju materyału.

Następnie znajdujemy w Pamiętniku program wykładu religii we wszystkich klasach Instytutu; dalej dwa życiorysy — Hilla i ks. Anzelma Zygmunta. Maurycy Hill był inspektorem jednego z Instytutów Głuchoniemych w Saksonii i jeden z pierwszych popierał energicznie zaniechanie mowy migowej, a natomiast jaknajspieszniejszą naukę mowy ustnej dla głuchoniemych. Ks. Anzelm Zygmunt, rodem z Prus, należał do zgromadzenia Misyonarzy i około 1805 roku, starał się, choć bezskutecznie, o założenie Instytutu Głuchoniemych w Wilnie. Zajmował się w tem mieście prywatnem nauczaniem tych nieszczęśliwych; dał się nawet poznać ze swojej działalności w Petersburgu. Kiedy i gdzie umarł — niewiadomo. Mieści się także w Pamiętniku kilka recenzyi dziełek elementarnych, a głównie abecadlników.

Ze szczegółów podanych w części informacyjnej widzimy, że w roku zeszłym znajdowało się w Instytucie 192 głuchoniemych (124 chłopców i 68 dziewcząt) i 40 ociemniałych (30 chłopców i 10 dziewcząt) razem 232 uczniów i uczennic. Z tych zaledwie 49 utrzymywanych kosztem rodziców lub opiekunów; reszta — kosztem skarbu, osób prywatnych i Instytutu. Instytut posiada w bibliotece 2763 książek i 401 wydań peryodycznych. Głuchoniemi uczą się wszystkich ważniejszych rzemiosł, a ociemniali tylko niektórych (koszykarstwa, wyplatania i t. p.): ale za to ci ostatni uczą się muzyki. Instytut posiada swoją drukarnię; w której ubiegłego roku wydrukowali uczniowie 4 książki: Gramatykę Polską kurs 4, katechizm, Pamiętnik i dziełko O proporcyi nafty, węgli i drzewa, ważne w ogóle dla ekonomii domowej.

Ze wszystkich szczegółów sprawozdania widzimy że Instytut, używający, jak wiadomo, sławy europejskiej, jest urządzony i prowadzony wzorowo, że używane są wszystkie środki dla oświecenia tych upośledzonych umysłów i że mozolna, nadludzka prawie praca bujny plon wydaje. Dla tego publiczność nie powinna być obojętną na stan i losy tej instytucyi, która opiera się na jednej z najwspanialszej i najdobroczynniejszej zdobyczy pedagogii nowoczesnej. Z tego to względu postanowiliśmy wspomnieć o Pamiętniku w szpaltach Tygodnika i polecić tę książkę wszystkim, kogo interesuje ta sprawa. Powiedzieliśmy już wyżej, że i w sprawie wychowania zdrowych dzieci można tu znaleźć kilka skazówek; najużyteczniejszą jednak będzie ta książka dla osób, które chciałyby poświęcić się prywatnemu nauczaniu głuchoniemych i ociemniałych.

W.

Nowe wydawnictwa.

Dzieł Karola Szajnochy, wyszedł tom IX nakładem i drukiem Józefa Ungra i zawiera dalszy ciąg opracowania historycznego p. t. Dwa lata dziejów naszych 1646—1648 rozpoczętego w tomie poprzednim a mającego się dopiero skończyć w tomie dziesiątym.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Szanownym Państwu Gabryelowi i Konstancyi R. oraz Pa. Elizie R. w Łopaciance za pamięć Redaktor przesyła serdeczne podziękowanie.

Pani A. S. Chętnie spełnilibyśmy życzenie wyrażone w liście, ale na to trzebaby oddzielne wyjednać pozwolenie, którego otrzymanie jest niepodobne.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 19 (31) Октября 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Opis do N. 44.

N. 1—2. Ubranie z paletocikiem. Zmniejszony model tuniki którą nosić można przy bluzce, przy staniku z baskiną, albo dopasować do vêtement formą princesse, N. X Fig. 34 na arkuszu z krojami.

Na ryc. 1 przedstawiona z przodu suknia wełniana z długiem vêtement formą princesse, na którem paletocik odznaczony jest tylko oszyciem naśladującem pióra. Oszycia takie w różnych kolorach tkane są fabrycznie z włóczki karbowanej. Na ryc. 2, widzimy ubranie z czarnego drobniutko nakrapianego materyału „*epinglé*"; odrobione z tuniką i paletocikiem do figury. Wzór kroju i miary tuniki podajemy na Fig. 34; bardzo szerokich materyałów potrzeba tylko dwa bryty, a cienkie przerywane linijki oznaczają srodek przodu i tylnego bryta. Krając z materyałów węższych, uważać trzeba żeby szew nie wypadał na środku z przodu. Przód zeszywa się z tylnym brytem z jednego boku, a następnie u dołu i z drugiego brzegu bryta tylnego oszywa wypustką ze sznureczkiem i obłożeniem. Potem daje się poprzeczne fałdy z przodu, z których 3 w górę a 3 od dołu są obrócone; zabierają one 77 cent. materyału a po złożeniu trzymają 25 cent. Od góry powinny być odsunięte o 50, od dołu o 30 cent.; a przyszyte w podłuż w środku i z boków 20 cent. od brzegów przodu. Luźny brzeg tylnego bryta trzeba od ╳ do kropki w pukiel złożyć i zczepić, a następnie przyszyć z wierzchu do zfałdowanego przodu, któren od dołu wystaje na 14 centymetrów. Rozporek przecina się w środku bryta tylnego; z przodu daje się oznaczone na Fig. 34 zaszewki, które potrzeba dopasować na osobie. Przy sukni formą princesse, z przodu zapinanej, zaszewki w piersiach są odpowiednio do figury przedłużone, a bryt tylny albo przypuszcza się przy środkowym zeszyciu pleców, albo daje oddzielnie, układa w górze w kontrafałdę i przyszywa do baskiny. Na sukni princesse paletocik odznaczony jest tylko obłożeniem, do spódnicy z tuniką długi paletocik pasuje się podług dobrej formy stanika z baskiną, u dołu i z przodów oszywa wypustką ze sznureczkiem i obłożeniem włóczkowem naśladującem pióra. Pod paletocik kładzie się stanik bluzkowy. Spódnica na modelu oszyta była dwoma, jedna na drugą zachodzącemi falbankami 11 cent. szerokiemi w kontrafałdy ułożonemi.

N. 3. Ubranie z długim paletocikiem dla dziewczynki.

Długie, wpadające do figury paletociki aksamitne, korcikowe, lub z innego zimowego materyału, oszyte galonami lub obłożeniem naśladującem pióra, są najwięcej używane do spacerowego ubrania, dla małych panienek. Najmodniejsze do nich guziki naśladują cekiny. Kapelusik filcowy ubrany jedwabnym sznurem lub aksamitką i piórami.

N. 4—8. Haftowane rękawiczki.

Długie, najmodniejsze rękawiczki, z wierzchu ręki, i w około brzega, bywają ozdobione kolorowym haftem, odrobionym jedwabiami. Ryc. 6—7 podaje próbki wyszycia na wierzchu, a ryc. 8 szlaczek w koło rękawiczki. Ażeby w robocie nie przysmolić rękawiczek najlepiej podkładać bibułkę angielską, którą wydziera się po skończeniu. Haft może być w dwóch cieniach, albo dwóch odmiennych kolorach.

N. 9—11. Bluzka fałdowana, w karczek wszyta. Krój karczka na arkuszu z formami, N. VIII, Fig. 31—32.

Bluzki w karczek wszyte, suto z przodu i z tyłu fałdowane co raz więcej się upowszechniają. Fig. 31 podaje formę przodu a Fig. 32 połowę pleców karczka, któren szyje się na podszewce. Wykrój pod szyją wszywa się w prosty, 4 cent. szeroki kołnierzyk którego rogi są wywinięte. Pod bluzkę można także dać muślinową podszewkę, fałdy stosownie do figury mogą być głębsze lub płaściejsze. Na modelu przody miały po 50 cent. szerokości a 45 cent długości, plecy 106 cent. szerokości a 50 długości, szew boczny 40 cent. Pachy, kołnierz i karczek były oszyte wypustką ze sznureczkiem; w pasie daje się od spodu listewkę do której fałdy przeszyte są dwa razy w odstępie 6 cent. Na modelu do ryc. 9 i 11 spódnica i rękawy były z czarnej materyi jedwabnej a bluzka i tunika z ciemno zielonego, wełnianego knikerboker. Ryc. 10 przedstawia bluzkę dopasowaną podług formy stanika, przy której w miejsce fałd z przodu dane były zaszewki ze sznureczkami.

N. 12. Pończocha ażurowa bez pięty. Próbka roboty ryc. 11 w N. 45 Tygodnika.

Ryc. 12 przedstawia pończochę bez pięty, jakie i w sklepach sprzedają; my jednak pończoch takich nie zalecamy bo się wypychają na pięcie, leżą gorzej i są mniej dogodne jak zwyczajne. Ścieg ażurowy otrzymuje się przez spuszczenie i sprucie każdego *4-tego* oczka w zwyczajnej gładkiej robocie. Spuszczane oczy trzeba z lewej strony zamccować przy szlaku pończochy.



N. 1—2. Ubranie z paletocikiem. Wskazanie kroju tuniki na arkuszu N. X, Fig. 34.

N. 3. Ubranie małej dziewczynki.

N. 13. Pas do pończoch w miejsce podwiązek. Krój N. VI Fig. 27—29.

Ryc. 13 przedstawia paryzki model pasa do którego przyczepione są paski z elastyką i sprzączkami obciągające pończochy w górę i zastępujące podwiązki. Pas odrobiony był z niebieskiej materyi podszytej białym bawełnianym atłasem. Do jedwabnych bocznych pasków przyszyte są taśmy elastyczne 3 cent. szerokie a 18 długie, które za pomocą sprzączki widocznej na środku można skracać lub przydłużać; w końcach elastyki założone są klamerki przez które przewlóczą się wstążki z maszynkami do przytrzymania pończochy.

N. 14—16 i N. 1—2 w N. 45 Tygodnika. Tren do przypinania pod trenem sukni. Zmniejszony rysunek i miary N. VII, Fig. 30—30-a.

Ryc. 14 przedstawia oddzielnie taki tren perkalowy, służący do ochrony i nadania zręcznej formy trenowi od sukni, przypina się od spodu na dziurki zrobione w szerokim jego pasku i na guziki przyszyte do listewki dolnej na którą suknia jest ściągnięta, albo do paska w któren wszyty jest tren sukni dodany oddzielnie. Ryc. 15 przedstawia spódnicę od sukni z takim przypiętym trenem, przy którym spodnia spódnica może być tylko do ziemi. Na ryc. 1—2 w N. 45 dajemy próbki koroneczki z plecionki i roboty szydełkowej do oszycia falbany. Na ryc. 16 podajemy falbanę 22 cent. szeroką, ułożoną w fałdy 2 cent. głębokie i wszytą w górze w pasek 2 metry długi. Taką falbanę zwaną „*balayeuse*" podszywa się u dołu pod strojne suknie z bardzo długim trenem. Model ozdobiony był haftem tamburkowym, pod którego ząbki podszyta koronka niciana.

N. 17—19. Modne chusteczki do nosa. Monogramy do haftu ryc. 20—21.

Batystowe chusteczki powinny mieć obrąb szeroki przyszyty kratką ażurową, nad którym daje można szlaczek haftu jak na ryc. 19, albo jedną lub dwie wstawki koronkowe przedzielone paskiem batystu jak na ryc. 17. Kosztowniejsze chusteczki mają dodaną za obrębem szeroką walansienkę lub nicianą koronkę. Najmodniejsze są chusteczki z szeroką koronką nie nadmarszczoną ani zaszywaną na rogach lecz robioną w koło i dopasowaną do chusteczki. Ryc. 18 przedstawia chusteczkę z dwoma wstawkami koronkowemi, przedzielonemi wstawką haftowaną, która oszyta jest taką fabrycznie dopasowaną koronką.

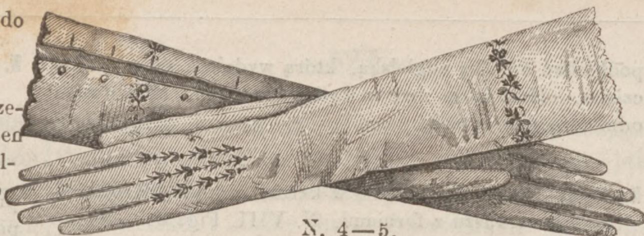
N. 22—23. Fasony kapeluszy.

N. 24—25. Torebka na bieliznę nocną i t. p. Desenie na dodatku z krojami Fig. 35 do 39.

Powyższa torebka z kieszonkami różnej wielkości na dzienną lub nocną bieliznę lub drobiazgi toaletowe, zrobiona być może z dymy angielskiej, piki lub t. p. materyałów. Desenie wyszyć można sutaszem kolorowym lub ściegiem łańcuszkowym albo sznureczkowym. Model miał 34 cent. szerokości a 64 długości, z której 14 cent. odchodzi na klapę do zapinania. Zewnętrzne urządzenie kieszonek dokładnie wskazuje ryc. 24; brzegi objęte są tasiemką kolorową. Złożoną i zapiętą torebkę podajemy na ryc. 25.

N. 26—28. Woalik haftowany sznelą lub kordonkiem do cieniu.

Ryc. 26 przedstawia woalik z jedwabnego tiulu z szerokim obrębem, ozdobiony wyszyciem sznelowem; deseń wyszycia i frendzlę sznelową podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 27. Inną próbkę do wyszycia łańcuszkowego, kordonkiem do cieniu załączamy na ryc. 28.



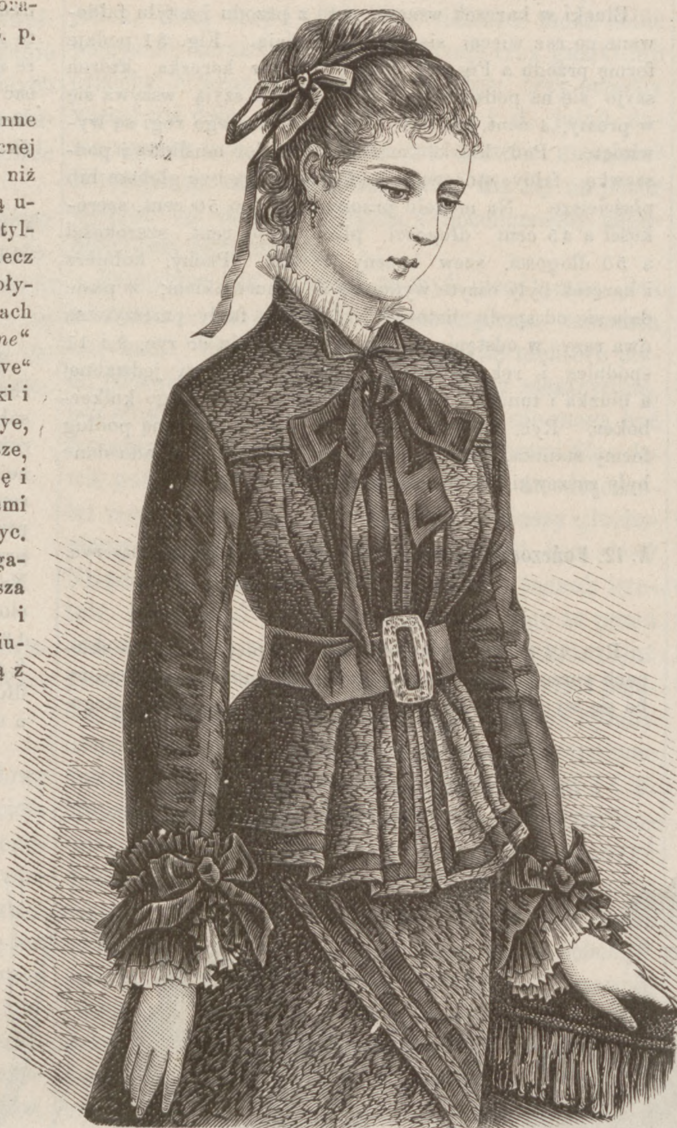
N. 4—5. Modne rękawiczki. Desienie haftu patrz ryc. 6—8.

N. 29—31. Gałązka z dżetu i perełek do kapeluszy, ubrania głowy lub t. p.



N. 10. Bluzka z kołnierzem. Patrz ryc. 9 i 11.

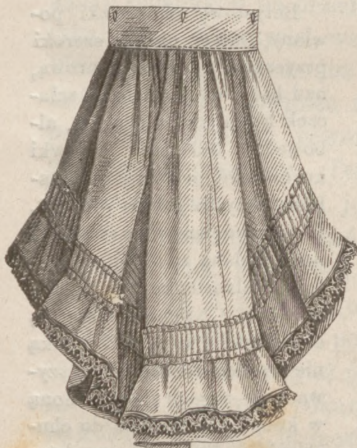
Dżet i szklanne perełki w obecnej chwili więcej niż kiedykolwiek są używane, a to nietylko w czarnym lecz i w mienionych błyszczących kolorach jak *„clair de lune“* „flamme de vesuve“ zielony, niebieski i inne. Pasmanterye, koronki, kapelusze, ubrania na głowę i suknie są niemi przyozdobione. Ryc. 29 przedstawia gałązkę do kapelusza ułożoną z dżetu i perełek, liście tiulowe oszyte są z brzegu płaskiemi blaszkami a wyszyte dżetem. Sposób roboty na cieniutkim druciku wskazuje ryc. 30—31.



N. 9. Bluzka z karczkiem. Patrz ryc. 11.

N. 32—33. Serweta na stół lub szafkę bufetową. Haft krzyżykowy na płótnie, bawełną turecką kolorową. Desenie szlaków i pojedyńczych figur N. 21—25 na arkuszu z krojami i deseniami.

Na ryc. 33 załączamy abecadło krzyżykowe do wyszycia zdań lub przysłów, zamieszczonych pomiędzy szlakami.



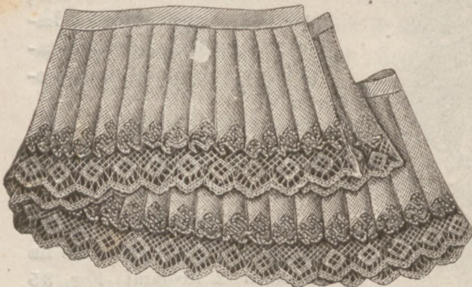
N. 14. Tren do przypinania pod trenem sukni. Krój dodatku N. VII, Fig. 30.

N. 34—35. Bransoletki.

Bransoletki modne są z dżetu, szyldkretu, złota i różnej mieszaniny metalów. Ryc. 34 przedstawia bransoletkę metalową ażurową z takim samym łańcuszkiem do zawieszania wachlarza. Na ryc. 35 widzimy bransoletkę z kilku w środku przepaską złączonych obrączek szyldkretowych, odrobioną podług starodawnych egipskich wzorów.



N. 12. Ażurowa pończocha bez pięty.



N. 16. Falbana do przypinania pod trenem sukni. Patrz ryc. 14—15. Deseń na arkuszu N. VII, Fig. 30-a.



N. 6. Szlaczek do ryc. 4 i 5.



N. 13. Pas do utrzymywania pończoch. Krój na aukuszu N. VI, Fig. 27--29,



N. 7. Szlaczek do ryc. 4—5.



N. 17—19. Modne chusteczki do nosa. Patrz ryc. 20—21.



N. 20. Monogram do ryc. 17—19.



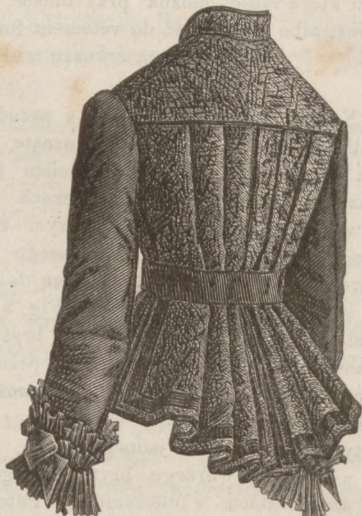
N. 8. Szlaczek do ryc. 4—5.

N. 36—37. Dwa kapelusze i paletoty dla małych panienek.

Ryc. 36 przedstawia paletocik z wełnianego zimowego materyału oszyty futerkiem i kapelusik biały ubrany wązką atłasową wstążką, piórami i kwastami z puszku. Na ryc. 37 widzimy paletocik aksamitny futrem oszyty i kapelusz biały filcowy ubrany pluszem, piórami i jedwabnemi kwastami.

N. 38—40. Krawatki modne.

Zarówno do domowego jak i do strojnego ubrania i do wyjścia na ulicę ciągle używane są krawatki, które zmieniają się odpowiednio do toalety. Są krawatki tiulowe, koronkowe, jedwabne w ciężkim gatunku, ze szlakami w pasy do cieniu lub odmiennego koloru, z broszowanemi kwiatami, arabeskami lub deseniem w pióra, albo też z obłożeniem naśladującem pióra, albo całe z materyału nakształt piór tkanego. Ryc. 38—40, przedstawia takie trzy modne krawatki.

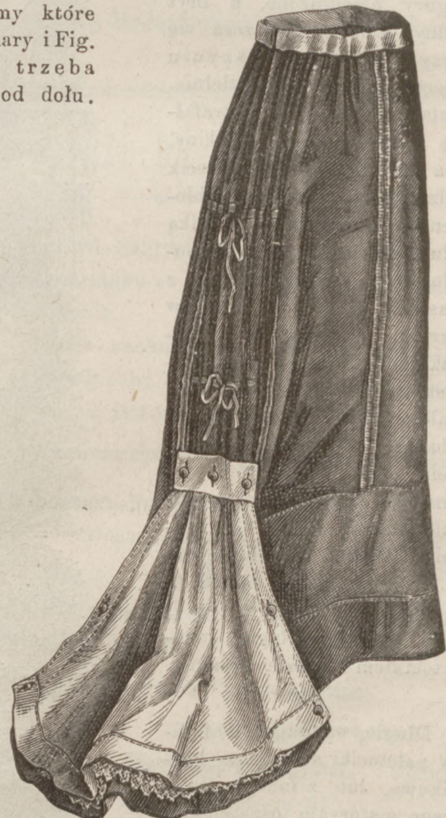


N. 11. Bluzka z karczkiem. Krój karczka na arkuszu N. VIII, Fig. 31—32. Patrz ryc. 9.

N. 41. Sukienka dla dziecka lat 1—2. Przód na ryc. 26 w N. 45.

N. 42—43. Płaszczyk podróżny z pelerynką lub z kapturkiem. Krój N. II Fig. 7—14.

Ryc. 42 i 43 przedstawia z przodu i z tyłu długi płaszczyk trochę wcięty do figury, któren odrobić można z szewiotu, waterproof'u lub innego materyału, z pelerynkami albo z kapturkiem. Fig. 7—9 podaje tylko górne części formy które podług miary i Fig. 7-a—9-a trzeba dopełnić od dołu.



N. 15. Tren przypięty do spódnicy. Patrz ryc. 14—16.

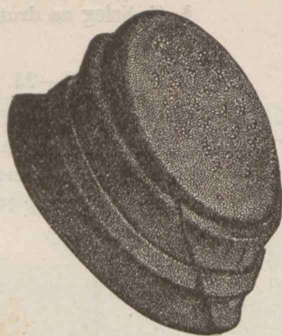
Przody szeroką listwą podszyte, na dwa rzędy guzików zapinane, powinny zachodzić jeden na drugi 11 cent. Plecy mają od dołu fałszywy rozporek 52 cent. długi, tylko guzikami i listewką 4 cent. szeroką odznaczony; na listewkę dodaje się materyału przy na wierzch zachodzącej połowie pleców. Fig. 10 podaje formę rękawa z odznaczonym na zwierzchniej połowie mankietem. Przy płaszczyku ryc. 42 dodana jest tak dziś modna potrójna pelerynka, którą podług for-



N. 21. Monogram do ryc. 17—19.

my do ryc. 21 w N. 45, i podług zmniejszonego rysunku Fig. 14, z łatwością można dopasować; stopniowanie i miary trzech pelerynek oznaczone są na Fig. 14.

Na ryc. 43 pelerynka zastąpiona jest szpiczastym kapturkiem czyli kapturkowym kołnierzem, którego połowę formy dajemy na Fig. 11. Cztery rzędy stębnówek, sznury, kwasty i agrafy stanowią przyozdobienie kołnierza, mankietów i kieszonki; guziki czarne drewniane polilturowane.

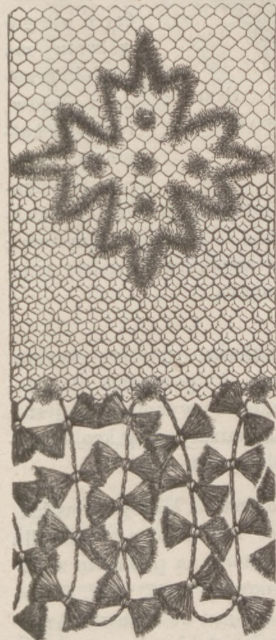


N. 30. Robota liści z perełek do ryc. 29.



N. 22. Kapelusz aksamitny nie ubrany.

N. 24. Torebka na bieliznę. Otwarta. Deseń wyszycia sutaszem na ark. Fig. 35—39. Patrz ryc. 26.



N. 27. Haft sznelą i frendzla do ryc. 26.

N. 44. Spacerowe ubranie dla niedorosłej panienki.

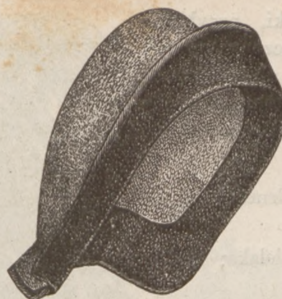
Składa się z wełnianej spódniczki piaskowego koloru, nie dotykającej ziemi, z tuniki spódniczkowej i ze stanika paltocikowego. Rękawy, plisa przy tunice, wypustki przy staniku złożonym z wielu cząstek, są z bronzowego aksamitu. Na głowie berecik aksamitny bronzowy, otoczony piaskowym piórem.



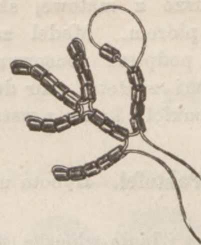
N. 26. Woalik z frendzlą i rzucikiem sznelowym. Patrz ryc. 27—28.



N. 25. Torebka na bieliznę. Patrz ryc. 24.

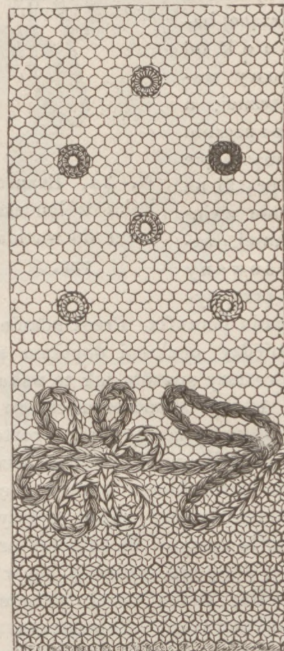


N. 23. Kapelusz filcowy nie ubrany.



N. 31 Robota liścia z perełek do ryc. 29.

któw oznaczonych na Fig. 5-a. Jasna jedwabna suknia załączona z tyłu na ryc. 3 ma tunikę z prostego bryta, z przodu złożoną w poprzeczne fałdy z tyłu w wielką kontrafałdę zebraną i przypiętą bukietem kwiatów. U dołu tuniki i przy bercie frendzla z kwiatów konwalii; na ramionach gałązki kwiatów. Rycina 4 przedstawia suknię jedwabną z draperyą z gazy w pasy atłasowe branej skośnie; szeroka wspaniała koronka zakończa brzegi. Fijołkowa aksamitna princesse jaką widzimy na ryc. 5, ma przód wstawiony z jaśniejszej materyi faille; przód ten od góry idzie zupełnie gładko w kształcie napierśnika bogato haftowanego u dołu przeszytego trzy razy koronką; poniżej koronki materya ufałdowana poprzecznie. Dolne przybranie sukni 33 cent. szerokie, składa się z falbanki ułożonej w kontrafałdy i z plisy oszytej wypustkami i koronką białą z pod której u dołu wysuwa się frendzla z siepanej materyi. Kokarda aksamitna (12 cent. szerokości) podszyta materyą faille przysłania z tyłu przeszycie kontrafałdy. Wykrój szyi i rękawki garnirowane koronką, przepiętą kokardami.



N. 28. Szlak i rzucik cieniowanym jedwabiem do ryc. 26.

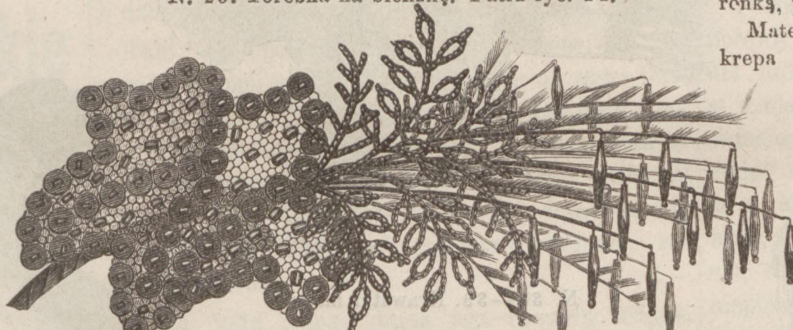
Materya faille różowa użyta jest na suknię ryc. 5; tiul, krepa lub tarlatan odpowiedni jest na draperyę upiętą nakształt szarfy almée, na sute riusze i falbanki składane w kontrafałdy. Berta z riuszy przepinanej kwiatami; na sukni kwiaty przytrzymują z boku draperyę.

Opis do N. 45.

N. 1—2. Ząbki szydełkowe z szeroką tasiemką.

N. 3—6. Ubranie wieczorowe. Dekoltowane suknie princesse. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—6-a.

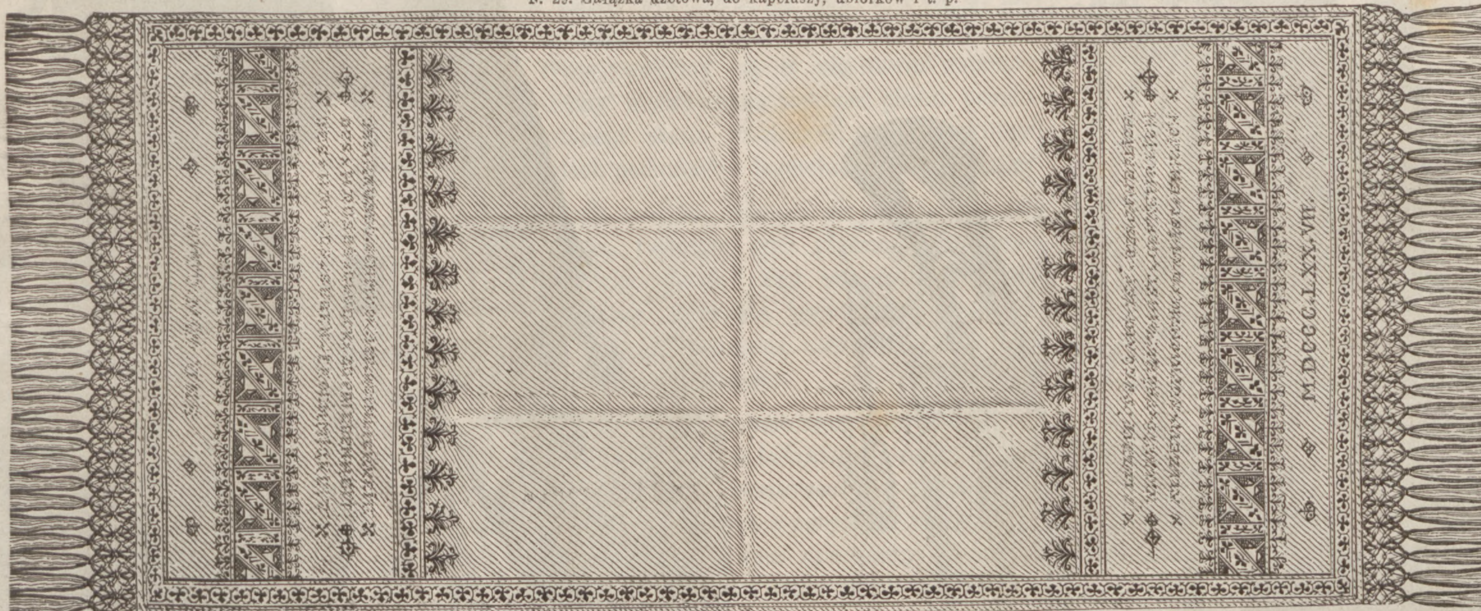
Fig. 1—6 załącza formę princesse bardzo ładnie leżącą na osobach szczupłych a na ryc. 3—6 wskazują różne sposoby ubrania sukien dekoltowanych, wieczorowych. Długość i szerokość formy dopełnia się podług miar załączonych na zmniejszonym formacie kroju; zapięcie na guziki dane z tyłu na 56 cent. wzdłuż. Ażeby tren dobrze leżał potrzeba na 60 cent. od dolnego brzegu całe szerokość tylnego bryta (Fig. 5) zebrać w podwójną kontrafałdę do 22 cent. szerokości, podług krzyżyków i pun-



N. 29. Gałązka dżetowa, do kapeluszy, ubiorków i t. p.

N. 7—8. Kapelusze zimowe.

N. 7. Kapelusz filcowy. Model białego filcowego kapelusza był przyozdobiony z wierzchu główki dwoma strusiemi piórami po 22 cent. długości, zwróconemi do przodu. Wstążka repsowa 10 cent. szeroka opasuje główkę i spada w końcach 70 i 90 cent. długich, przytrzymanych trzema sutemi rozetami. Rondo od twarzy podszyte kolorowym aksamitem i podpięte aksamitną riuszą.



N. 32. Serweta na szafkę bufetową. Wyszycie krzyżykami na płótnie.

N. 8. Kapelusz ze skóry. W teraźniejszym sezonie jesiennym za granicą za-



N. 33. Alfabet do znaczenia krzyżykami.

czynają nosić kapelusze z matowej skórki, przybrane opasaniem z futra i piórem. Model załączony na ryc. 8 ma rondo oszyte i podpięte ponsowym aksamitem na który spadają grelotki z dżetu clair de lune; od spodu rondka z tyłu spada pukiel i końce z wstążki repsowej.

N. 9—10 i 29. Pantofel. Robota na drutach.

Materyał: niebieska i biała włóczka angielska; grube druty.



N. 34. Bransoletka z łańcuszkiem do wachlarza.

Zwykły ścieg na drutach, zmieniony tylko przez dodanie nitki innego koloru tworzącej baranek od strony wewnętrznej, a poprzecznie odznaczające się prążki na stronie zwierzchniej, zastosowany jest przy wykonaniu pantofla. Przekładanie nitki między oczkami dopełnia się w najprostszy sposób, jak to wskazuje ryc. 10, po skończeniu całego rzędu nitka przeciąga się prosto po nad pentelkami do drugiego brzegu, a po przerobieniu trzech rzędów gładkich tworzy znów wyższy rząd baranka. Robota pantofla zaczyna się od palcy przybiera stopniowo na podbiciu, dalej zaś rozdziela się w dwa pasy stanowiące boki pantofla; liczba oczek stosuje się do grubości drutów i wielkości nogi. Zewnętrzną stronę ściegu przedstawia ryc. 29; podeszwa może być gruba filcowa albo nawet skórzana. Riusza i kokarda z wstążki stanowi przyozdobienie.



N. 36—37. Dwa kapelusze i paletocik dla małych dziewczynek.



N. 38—39. Krawatki modne.

N. 11. Ścieg na drutach do pończochy ryc. 12 w N-rze 44.

N. 12—24. Ubranie spacerowe i wizytowe.

N. 12. Ubranie małej dziewczynki. Na spódniczkę złożoną z tyłu w szerokie fałdy, włożone vêtement formą princesse, przepięte z tyłu dwoma kokardami, zdobne falbanką z haftem madera. Kapelusik biały kaszmirowy.



N. 35. Bransoletka szyldkretowa.

N. 13. Ubranie dla panienki. Sukienka princesse z szafirowego welwetu ma środek przodu i pleców, rękawy i kołnierzyk dodane z matelassé. Przybranie stanowią falbaneczki plisowane i kokardy z materyi; kapelusik aksamitny zdobny piórkiem i wstążką.

N. 14. Suknia princesse wycięta kwadratowo. Odpowiednia dla młodych panienek, wykończona jest z białego kaszmiru podług kroju załączonego do ryc. 3—6.

N. 15. Suknia z bluzką. Odrobiona z białego muślinu, stosowna na zebrania wieczorne lub lekcye tańca dla młodych panienek ma bluzkę złożoną na przemian z pasów wstawki koronkowej i muślinowych $3^{1}/_{2}$ cent. szerokości. Przedni bryt tuniki złożony jest ze wstawek i muślinu odpowiednio do bluzki; suknię zdobią plisowane falbanki. *(dok. nast.)*.



N. 42. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 43. Krój na arkuszu N. II, Fig. 7—14.

N. 41. Sukieneczka dla dzieci lat 1—2. Krój na arkuszu N. V, Fig. 23—26.



N. 44. Ubranie spacerowe dla młodej panienki.

N. 43. Płaszczyk z kapturkowym kołnierzem. Patrz ryc. 42.